

**BIBLIOTEKA  
PRZYGÓD ROMANTYCZNYCH**

**BIBLIOTEKA  
PRZYGÓD ROMANTYCZNYCH**

Wydawnictwo tygodniowe

Redaktor i wydawca: LUDWIK FISZER

PRENUMERATA KWARTALNA :

w Warszawie . . . . Zł. 8.50

z przesyłką pocztową . . „ 9.50

REDAKCJA I ADMINISTRACJA :

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 9.

ALEKSANDER DUMAS (OJCIEC).

# PANI DE MONSOREAU

ROMANS

PRZEKŁAD Z FRANCUSKIEGO

TOM II

WARSZAWA, E. WENDE I S-ka

K 559872
1722575 I

U-M/201/146



1103.

31

## ROZDZIAŁ I

### UKŁADY

Nastąpiło chwilowe milczenie.

Diana wzruszona wspomnieniami, czuła, jak głos jej słabnie.

Bussy słuchał z największym zajęciem, a w duszy zaprzysięgał zemstę jej nieprzyjaciołom.

Nakoniec, odetchnawszy orzeźwiającym płynem, z wyjątego z kieszeni flakona, mówiła dalej:

— Zaledwie stanęliśmy na lądzie, siedmiu czy ośmiu ludzi przybiegło do nas.

Byli to służący hrabiego, pomiędzy którymi poznałam dwóch, towarzyszących nam, gdy nas napadnięto

Koniuszy trzymał za lejce dwa konie, z tych jeden kary, hrabiego, drugi biały, dla mnie przeznaczony.

Hrabia pomógł mi wsiąść na mego i natychmiast sam dosiadł konia.

Gertruda wsiadła z jednym ze służących.

Po skończonych przygotowaniach, ruszyliśmy galopem.

Hrabia wziął lejce mojego konia, chociaż mówiłam, że dobrze jeźdźę i nie potrzeba tej ostrożności;

lecz odpowiedział, że jadąc śpiesznie, mogłabym ulec wypadkowi.

Pędziłam już przeszło dziesięć minut, gdy usłyszałam głos Gertrudy.

Odwrociłam się i spostrzegłam, że nasz orszak rozdzielił się; czterech ludzi pojechało boczną ścieżką, a hrabia i czterech innych udali się ze mną.

— Gertrudo!... — zawołałam. — Panie, czemu Gertruda nie jedzie z nami?...

— Jest to konieczna ostrożność — odpowiedział hrabia, — pozostawiamy dwa ślady na wypadek gdyby nas ścigano. Skorzystamy na tem jeśli książę uda się w pogoń za służącą, a nie za panią.

Odpowiedź ta nie zaspokoila mię.

Ale co mówić, co czynić?... Wzdychałam i czekałam.

Przytem droga, którą hrabia obrał, prowadziła do zamku Meridor.

Jadąc śpiesznie, mogliśmy tam przybyć za kwadrans.

Przybywszy na polankę w lesie, dobrze mi znaną, hrabia zwrócił się na lewo.

Krzyknęłam i chciałam w biegu zeskoczyć z konia, lecz hrabia pochwycił mnie silnie i przesadził na swego rumaka.

Mój wierzchowiec, czując się wolnym, zarżał i pobiegł w las.

Wszystko to stało się tak nagle, że nawet krzyknąć nie miałam czasu.

Pan de Monsoreau zatkał mi usta chustką.

— Pani — rzekł — przysięgam na honor, że czynię wszystko z rozkazu twego ojca. Wszak okazałem dowód, a jeżeli ci to nie wystarczy, będziesz wolną.

— Lecz pan mi mówiłeś, że jedziemy do ojca, — rzekłam odepchnawszy jego rękę.

— Teraz pytam pani — mówił przystając — czy chcesz przyspieszyć zgon barona? chcesz swojej hańby? powiedz, a zawiozę cię do zamku Meridor.

— Mówiłeś pan, że działasz w imieniu mojego ojca?

— Oto dowód — rzekł hrabia — weź pani ten list i na pierwszym postoju przeczytaj. Jeżeli będziesz chciała powrócić do zamku, słowo honoru, broń nie będę. Lecz, jeżeli liczysz się z wolą barona, jestem pewny, że nie wrócisz.

— A więc śpieszmy panie, bo chcę prędko przekonać się o prawdzie.

— Pamiętaj pani, że idziesz ze mną dobrowolnie.

— Tak, dobrowolnie, o ile być może panią swej woli dziewczica, która widzi z jednej strony niesławę, a z drugiej człowieka, którego zna za ledwie. Ale mniejsza o to, idę za panem dobrowolnie; przekonaj się pan o tem, puszczając mię z konia.

Hrabia dał znak jednemu z ludzi, aby zsiadł z konia, podał mi i jechałam obok hrabiego.

— Wierzchowiec baronówny nie musi być daleko — mówił hrabia do człowieka, idącego teraz piechotą — poszukaj go, zawołaj raczej, bo jak pies słucha głosu. Znajdziesz nas w Châtre.

Zadrżałam pomimowoli.

Châtre leżało o dziesięć mil od zamku Meridor, na drodze do Paryża.

— Panie — rzekłam — towarzyszę ci, ale w Châtre, zrobimy ponownie umowę.

Pozorne posłuszeństwo nie uspakajało mnie, lecz że nie miałam możności wyboru: uchodziłam przed

księciem Andegaweńskim; jechałem wtedy w milczeniu.

O świcie przybyliśmy do Châtre, lecz zamiast udać się do wsi, skierowaliśmy się do samotnego domku.

Zatrzymałam konia.

— Gdzie jedziemy? — zapytałam.

— Słuchaj pani — mówił hrabia — poznałem twoją roztropność i do niej się odwołuję. Czy możemy, uciekając przed potężnym księciem, stawać w zwyčajnym zajeździe i narażać się na odkrycie? Jednego człowieka snadno przekupić, ale nie wieś całą.

Usprawiedliwienie hrabiego było dostateczne.

— Dobrze — odpowiedziałam — jedźmy.

Ruszyliśmy.

Oczekiwano nas, jeden ze służących wyprzedził orszak, aby przygotować ciepły pokój i wygodne posłanie.

— Oto pokój pani — rzekł hrabia — czekam dalszych rozkazów.

Uklonił się i pozostawił mnie samą.

Pierwszem mojem zajęciem było odczytać list ojca. Oto jest, panie Bussy, przeczytaj go i osądź.

Bussy wziął list i czytał co następuje:

„Moja najukochańsza Diano, nie wątpię, że ulegając mej prośbie udałaś się z panem de Monsoreau, który ci musiał powiedzieć, żeś miała nieszczęście podobać się księciu Andegaweńskiemu i że on kazał cię porwać i uprowadzić do zamku Beaugé; osądź z tego do czego jest zdolny i jaka hańba cię czeka. Jeden jest tylko sposób, aby uniknąć hańby, którejby nie przeżył, jeśli zaślubisz naszego szlachetnego przyjaciela, bronić cię będzie, jako hrabiny de Monsoreau



i swojej żony. Pragnieniem mojem jest, córko najdroższa, aby małżeństwo to jak najprędzej przyszło do skutku; jeśli usłuchasz mej prośby, łączę moje błogosławieństwo ojcowskie i błagam Przedwiecznego, aby użyzył ci wszelkiej pomyślności.

Tego ci życzę i o to błaga  
przywiązany ojciec,

*Baron de Meridor*“.

— Niestety! — rzekł Bussy — jeżeli to list pani ojca, to jest zupełnie jasny.

— Jego, nie mogę o tem wątpić...

— Przeczytałam go trzykroć, zanim cokolwiek postanowiłam.

Nakoniec przywołałam hrabiego.

Wszedł natychmiast, przekonało mię to, że czekał za drzwiami.

Trzymałem list w ręku.

— I cóż — rzekł — czytałaś pani?

— Tak — odpowiedziałam.

— Czy jeszcze wątpisz o mojem poświęceniu i szacunku?

— Wątpiłam, lecz ten list mnie przekonał. Teraz, przypuśćmy, że ulegnę życzeniom ojca; co pan masz zamiar uczynić?

— Myślę zawieźć panią do Paryża, gdzie najłatwiej się ukryć.

— A mój ojciec?

— Jak tylko minie niebezpieczeństwo, baron się zjawi.

— Dobrze panie, jestem gotowa przyjąć twoje poświęcenie, pod warunkami, jakie sam podyktujesz.

— Ja żadnych nie dyktuję — odpowiedział hrabia — chcę panią ocalić jedynie.

— A więc, powiem panu, że pańskie poświęcenie przyjmuję pod trzema warunkami.

— Mów pani.

— Naprzód, Gertruda wróci do mnie.

— Jest tutaj — odrzekł hrabia.

— Pojedziemy do Paryża nie razem.

— Właśnie to samo miałem pani zaproponować.

— Nakoniec ślub nasz odbędzie się w obecności ojca mojego.

— Jest to najgorętszym mojem pragnieniem, ażeby zyskać jego błogosławieństwo.

Ośłupiałam.

Sądziłam, że napotkam jaką trudność, a hrabia zgadzał się na wszystko.

— Teraz pozwoli pani — mówił pan de Monso-reau — że ja udzielię jej rady.

— Słucham.

— Jedź tylko w nocy.

— Bardzo chętnie.

— Pozwól mi wybrać miejsca odpoczynku i kierunku drogi; wszelkich środków użyję, ażeby uniknąć księcia Andegaweńskiego.

— Jeżeli mię pan kochasz, jak mówisz, jest to naszym wspólnym interesem; przystaję na wszystko, co powiedziałeś.

— Nakoniec, w Paryżu, zajmiesz pani mieszkanie skromne i oddalone.

— Pragnę właśnie żyć w ukryciu, a im schronienie będzie skromniejsze, tem pożądańsze dla mnie.

— Skoro porozumieliśmy się we wszystkich punktach, pozostaje mi tylko złożyć moje uszanowanie, przysłać pokojową i zająć się podróżą pani.

— Bądź pan pewny, że ja również dotrzymam słowa.

— Tego pragnę jedynie — rzekł hrabia — a przyrzeczenie pani czyni mię najszcześliwszym z ludzi.

To mówiąc, ukłonił się i wyszedł.

W pięć minut przyszła Gertruda.

Radość dobrej dziewczyny była wielka; sądziła bowiem, że chciano ją na zawsze ze mną rozdzielić.

Opowiedziałam jej, co się przytrafiło; potrzebo wałam podzielić się myślami, przeczuciami i niepokojem.

Uległość pana de Monsoreau dziwiła mię, lękałam się złamania świeżo zawartego traktatu.

Kiedy skończyłam opowiadanie, dał się słyszeć tętent konia.

Pobiegłam do okna i przekonałam się, że hrabia odjechał w przeciwną stronę.

Dlaczegoż wraca, skoro powinien jechać naprzód? tego pojąć nie mogłam.

Lecz dopełnił pierwszego warunku, powracając mi Gertrudę, a drugiego, oddalając się.

Przepędziliśmy cały dzień w domku, gdzie gospodyni usługiwała nam; wieczorem jeden ze służących wszedł, żądając rozkazów.

Ponieważ bałam się pozostawać w bliskości zamku de Beauge, powiedziałam, że jestem gotową do drogi.

W pięć minut dano mi znać, że konie czekają.

Przed bramą, zastałam mojego białego wierzchowca, który, jak hrabia powiedział, powrócił na zawołanie.

Jechaliśmy noc całą i zatrzymaliśmy się dopiero o świcie.

Liczyłam, że zrobiliśmy co najmniej piętnaście mil.

Pan de Monsoreau wszystko przewidział, abym nie zaznała zimna, ani utrudzenia.

Wierzchowiec niósł bardzo lekko, a gdy wyjeżdżałam z zamku, zarzucono mi futro na ramiona.

Popas był podobny do pierwszego, a za nim i inne, jak również następne, zawsze miano dla mnie te same względy, to samo uszanowanie i te same wygody; widocznie ktoś jechał naprzód i myślał o wszystkim, czy to był hrabia? tego nie wiedziałam?

Siódmego dnia nad wieczorem spostrzegłam ze wzgórza mnóstwo domów.

Był to Paryż.

Spoczęliśmy, aby doczekać nocy, następnie gdy ciemność zapadła, puściliśmy się w drogę; wkrótce przebyliśmy bramę, za którą ukazał się wielki gmach.

Udaliśmy się na prawo i w dziesięć minut stanęliśmy na placu Bastylji.

Wtedy, człowiek, który jak się zdawało, czekał na nas, zbliżył się do orszaku.

— Tutaj, — rzekł.

Jeden ze służących zwrócił się do mnie.

— Pani, jużemy przybyli.

I zeskoczywszy, podał mi rękę, abym zsiadła z wierzchowca.

Brama domu była otwarta i lampa oświecała schody.

— Pani — rzekł mój przewodnik — teraz jesteś u siebie; tutaj kończy się moje posłannictwo; czy mogę sobie pochlebiać, że cię zadowolili?

— Tak jest, — odpowiedziałam, — bardzo dziękuję. Chciałabym to wyraźniej okazać, lecz w tej chwili nie mam nic przy sobie.

— Nie troszcz się pani o to — odpowiedział — hojnie jesteśmy wynagrodzeni zadowoleniem pani.

I skłoniwszy się, wskoczył na konia.

— Słuchajcie — rzekł do służby — żebyście wszyscy jutro o tej bramie zapomnieli.

Orszak mój oddalił się i znikł w ulicy świętego Antoniego.

Gertruda zamknęła bramę, następnie weszłyśmy na schody.

Wszedłszy do przedsionka, znalazłyśmy troje drzwi.

Udałyśmy się środkowemi i znalazłyśmy się w tym oto salonie.

Był oświetlony, jak w tej chwili.

Otworzyłam drzwi i ujrzałam gabinet toaletowy, następnie pokój sypialny, a w nim, z wielkim zadziwieniem, portret mój... właśnie ten sam, który znajdował się u mego ojca w Meridor.

Zadrżałam na ten nowy dowód zaufania drogiego ojca dla hrabiego.

Przebiegłyśmy apartament.

Był pusty, ale niczego w nim nie brakowało.

Był ogień na kominkach, a w sali jadalnej stół zastawiony.

Spojrzałam na stół, jedno tylko było nakrycie; odzyskałam spokój.

— A co panienko — rzekła Gertruda — hrabia dotrzymuje słowa?

— Tak — odpowiedziałam z westchnieniem — wolałabym, żeby nie dotrzymał, tem samem i ja miałabym prawo nie dotrzymać.

Jadłam wieczerzę, następnie znów zwiedziłam apartament i żywej duszy w nim nie znalazłam.

Gertruda spała w moim pokoju.

Nazajutrz wyszła, aby się czegokolwiek dowiedzieć.

Opowiadała mi potem, że mieszkam na rogu ulicy

świętego Antoniego, wprost pałacu Tournelles i że gmach, który widziałam, to Bastylja.

Objaśnienia te niewiele mię nauczyły.

Nie byłam nigdy w Paryżu i nie znałam go zupełnie.

Dzień nie przyniósł nic nowego.

Wieczorem, gdy miałam siadać do stołu, zapukano do drzwi.

Spojrzałyśmy na siebie.

Zapukano powtórnie.

— Idź, zobacz, kto to puka, — rzekłam.

— Czy to nie hrabia?... — rzekła, widząc, że błędę.

— Choćby i hrabia, otwieraj — odpowiedziałem. — Wiernie dotrzymał słowa, należy zatem i jemu dotrzymać...

Po chwili powróciła, mówiąc:

— Pan hrabia.

— Prosić — odpowiedziałam.

Gertruda otworzyła, hrabia ukazał się.

— Prawda, pani — rzekł na progu — że wiernie dotrzymałem umowy?...

— Tak, panie — odpowiedziałam — dziękuję.

— Czy pani raczysz mię przyjąć—dodał z uśmiechem nieco ironicznym.

— Proszę wejść.

Hrabia zbliżył się i stał, prosiłam, ażeby usiadł.

— Czy pan masz jakie wiadomości?... — zapytałam.

— Skąd, albo raczej od kogo?

— Od mego ojca z Meridor.

— Nie wracałem do zamku Meridor i nie widziałem barona.

— Zatem wracasz pan z Beauge, od księcia Andegaweńskiego?...

- Tak jest, widziałem księcia.
- W jakim usposobieniu go znalazłeś?...
- Księżę wątpi.
- O czym?
- O pani śmierci...
- A któż mu o niej mówił?
- Ja upewniałem go o tem...
- Gdzież jest teraz księżę?
- Wczoraj wieczorem wrócił do Paryża.
- Dlaczego tak śpiesznie?...
- Któż pozostaje chętnie na miejscu, gdzie z jego przyczyny zginęła piękna kobieta?...
- Czyś go pan widział po powrocie?
- Właśnie wracam od niego.
- Czy mówił o mnie?...
- Nie dałem mu na to czasu.
- A więc o czym pan mówiłeś?
- O przyrzeczeniu, jakie mi uczynił.
- O jakim?...
- Przyrzekł mię mianować wielkim łowczym.
- Tak — rzekłam ze smutnym uśmiechem, — przypominam sobie śmierć mojej biednej Dafny; pan jesteś strasznym myśliwym i jako taki, masz prawo do tej godności.

— Właśnie nie jako myśliwy mam ją otrzymać, ale jako wierny sługa księcia; nie dlatego, że na to zasłużył, ale dlatego, że księżę nie chce się okazać niewdzięcznym wobec mnie.

We wszystkich odpowiedziach widać było jakąś złośliwą intencję.

Milczałam więc przez chwilę.

— Czy wolno mi pisać do ojca? — zapytałam.

— Zapewne; ale pomyśl pani, że listy mogą być przejęte.

— A czy mogę wychodzić?...

— Wszystko pani wolno; ale ośmielam się uczynić uwagę, że możesz być dostrzeżona.

— Przynajmniej w niedzielę mszy mogę wysłuchać?...

— Lepiej, żebyś jej pani nie słuchała, jeżeli zaś chcesz koniecznie, to tylko w kościele Ś-tej Katarzyny.

— Gdzież jest ten kościół?...

— Naprzeciw pani mieszkania, z drugiej strony ulicy.

— Dziękuję.

I znowu milczenie.

— Czekam pozwolenia pani, kiedy mogę ją odwiedzić — rzekł hrabia.

— Alboż go pan potrzebujesz?

— Tak, zaiste!... dotąd jestem jeszcze obcym dla pani.

— Alboż nie masz klucza do domu?

— Tylko mąż ma prawo go mieć.

— Panie — odpowiedziałam strwożona temi słowy — możesz pan przyjść, ilekroć będziesz miał mi donieść coś ważnego.

— Będę korzystał z pozwolenia, ale go nie nadużyję i na dowód tego, żegnaj panią

To mówiąc, powstał.

— Pan mię opuszczasz?... — zapytałam zdziwiona postępowaniem, którego się nie spodziewała.

— Pani — odrzekł hrabia — wiem, że mnie nie kochasz i nie chcę nadużywać twego położenia. Sądzę, że powoli przywykniesz do mnie i zostanie moją żoną mniej cię będzie kosztować poświęcenia.

— Panie!... — mówiłam powstając także — czuję delikatność twego postępowania i umiem je ocenić. Masz słusność i będę też mówiła z równą szczer-



ścią. Miałam przeciw panu niejaki uprzedzenia, które czas, sądzę, uleczy.

— Pozwól mi pani — odpowiedział hrabia — podzielać tę nadzieję i żyć w oczekiwaniu szczęśliwej przyszłości.

Pożegnawszy mnie najuniżeniej, dał znak Gertrudzie, przy której cała ta rozmowa miała miejsce, aby mu poświęciła.

Zaraz nazajutrz poszliśmy z Gertrudą do kościoła i wróciliśmy bez przeszkody.

Następnie wieczorem, zaczął Gertrudę młodzieniec, który był towarzyszem księcia i wypytywał obszernie, kto jestem i odkąd dom ten zamieszkuje.

## ROZDZIAŁ II.

### DIANA DE MERIDOR

— Na honor, to szczególniejszy człowiek — powiedział Bussy.

— Ach!... prawda, że szczególniejszy... Miłość jego ku mnie była straszna. Gertruda powróciwszy, zastała mię smutną i przełęczoną. Chciała mnie pocieszać, lecz i ona była niespokojna. To zimne uszanowanie, ironiczne posłuszeństwo, ta namiętność powstrzymywana, były straszniejsze, niż wola wprost objawiona, z którą mogłabym walczyć.

Szukałam najciemniejszego kątku i uklękałam pod ścianą. Gertruda stanęła jak straż pomiędzy mną a światem.

Nazajutrz hrabia powrócił i doniósł mi, że jest mianowany wielkim łowczym.

Księżę Andegaweński uzyskał dla niego to stanowisko, przeznaczone dla jednego z ulubieńców królewskich. Był to zaszczyt, którego się nawet nie spodziewał.

— Rzeczywiście — odezwał się Bussy — to nas wszystkich zadziwiło.

— Przyniósł mi tę wiadomość, sądząc, że nowa godność skłoni mię do przyzwolenia na małżeństwo; nie należał, ale czekał na wypadki.

Co do mnie, sądziłam, że gdy księżę uwierzy w śmierć moją, ustanie niebezpieczeństwo, a tem samem konieczność dotrzymania słowa z mej strony.

Przez siedem dni tylko odwiedzał mnie hrabia, odwiedziny te, jak i poprzednie, były zimne i pełne uszanowania; ale właśnie ta obojętność najwięcej mię trwożyła.

Następnej niedzieli poszłam znów do kościoła i zająłam to samo miejsce, co pierwej.

Pewność często nas zaślepia.

Kiedy modliłam się, zasłona uchyliła się... i w domu Bożym, gdzie o nikim, prócz o Bogu nie myślałam, uczułam, jak Gertruda zlekka mię trąca.

Biedaczka, musiała powtórzyć swoje spostrzeżenie, tak byłam zatopiona w modlitwie.

Podniosłam głowę, machinalnie spojrzałam wokoło siebie i spostrzegłam strwożona księcia Andegaweńskiego, który mię pożerał oczyma.

Młody mężczyzna, widocznie jego zaufany przyjaciel, stał przy nim.

— To był Aurilly — rzekł Bussy — jego lutnista.

— W rzeczy samej — odpowiedziała Diana — sądzę, że to nazwisko wymieniła później Gertruda.

— Mów pani dalej — rzekł Bussy — zaczynam teraz wszystko pojmować.

Zapuşciłam na twarz zaslonę, ale za późno; wi-

dział mię, a jeżeli nie poznał, uważa mię za osobę podobną do tej, którą kochał. Czując ciężący na sobie wzrok jego, powstałam i postąpiłam ku drzwiom. Wychodząc, znowu go ujrzałam; umaczał palce w wodzie święconej i mnie podał.

Udałam, że go nie widzę i wody nie przyjąłam

Wracając, czułam, że idzie za mną: gdybym znała Paryż, mogłabym go w błąd wprowadzić; lecz nie znałam nikogo, kogobym mogło prosić o gościnność, nie miałam przyjaciela, ani obrońcy.

— A! mój Boże — mówił Bussy — czemuż mię niebo wcześniej na twoją, pani, nie zesłało drogę?

Diana podziękowała spojrzeniem.

— Przebacz, pani, że przerywam — rzekł Bussy — chociaż umieram z niecierpliwości. Mów dalej, proszę cię...

— Tego samego wieczora przybył pan de Monso-reau. Nie wiedziałam, czy mam go uprzedzić o mojej przygodzie, lecz on rozproszył moje wahanie.

— Pytałaś mię pani, czy ci wolno iść na mszę, powiedziałem, że jesteś panią twej woli, lecz lepiejbyś uczyniła, nie chodząc; nie wierzyłaś pani, i ksiązę cię ujrzał.

— Prawda, wahałam się powiedzieć to panu, bo nie wiedziałem, czy ksiązę mię poznał.

— Twoje spojrzenie, pani, ugodziło go, twoje podobieństwo z osobą, której żałuje, wydało mu się nadzwyczajne. Szedł za tobą i dowiadywał się, ale nikt nie mógł go objaśnić.

— Mój Boże!... i cóż on uczyni?... — zawołałam.

— Ksiązę jest uparty — rzekł Monsoreau.

— A! sądzę, że mię zapomni.

— Ja zaś przeciwnie. Kto ciebie pani raz widział, nigdy nie zapomni... I ja chciałem ciebie zapomnieć, a nie mogłem.

I po raz pierwszy błyskawica namiętności zaświeciła w oczach hrabiego.

Zatrwożył mnie ten płomień, buchający z ogniska, które uważałam za wygasłe.

Umilkłam.

— Co pani myślisz przedsięwziąć? — zapytał hrabia.

— Panie — odpowiedziałam, — czy nie można zmienić mieszkania, wprowadzić się na inną ulicę, albo powrócić do Meridor?

— Napróżno — odrzekł pan de Monsoreau, potrząsając głową. — Książę Andegaweński jest straszny i skoro wpadł na ślad, pewnie cię znajdzie.

— Ach! Boże! Boże! pan mię przerażasz.

— Nie chciałbym, lecz mówię prawdę.

— A więc nawzajem ja panu zadam pytanie: co myślisz uczynić?

— Niestety! — odparł hrabia z dziką ironją — mało mam pomysłów i gdybym znalazł jaki środek, może byłbym zgodny z wolą pani.

— Może niebezpieczeństwo nie jest tak nagłe?

— Przyszłość panią przekona — odpowiedział hrabia powstając. — W każdym razie, powtarzam ci: hrabina de Monsoreau niema się czego lękać, bo ja trafię i do króla.

Odpowiedziałam westchnieniem.

To, co mówił hrabia, było zupełnie prawdopodobne.

Pan de Monsoreau zaczął czekać chwilę, jakby dając mi czas do namysłu, wstał i miał zamiar wyjść.

Dziki uśmiech przebiegł mu po ustach, ukłonił się i wyszedł.

Słyszałam, jak kłął na schodach: przywołałam Gertrudę.

Gertruda zazwyczaj była obecną albo w pokoju

sypialnym, albo w gabinecie, gdy hrabia przychodził: przybiegła więc zaraz.

Stałam przy oknie tak, że niespostrzeżona mogłam widzieć, co się na ulicy dzieje.

Hrabia wyszedł i oddalił się.

Spotkanie w kościele zatrwożyło mię, zaczęłam się lękać, aby rzeczy dalej nie zaszły, kazałam więc znów wezwać hrabiego.

Opowiedziałam mu wszystko, co mi Gertruda mówiła o młodzieńcu towarzyszącym księciu.

— To Aurilly — rzekł — i cóż mu Gertruda mówiła?

— Nic mu nie odpowiedziała.

Pan de Monsoreau zamyślił się.

— To źle — rzekł.

— Jakto?

— Tak; tu idzie o zyskanie na czasie.

— Na czasie?

— Dzisiaj zależę jeszcze od księcia Andegaweńskiego, ale za dni piętnaście, albo prędzej, księżę ode mnie będzie zależał. Właśnie trzeba go zwodzić, by czekał cierpliwie.

— O Boże!

— Tak, nadzieja uczyni go cierpliwym, a zwątpienie popchnie go do kroku nierozważnego.

— Pisz pan do ojca — zawołałam. — Mój ojciec rzuci się do nóg królowi, a on będzie miał litość nad starcem.

— To zawisło od usposobienia króla i od tego, czy polityka wymaga, aby był przyjacielem księcia, czy też odwrotnie. Prócz tego, potrzeba sześć, albo siedm dni, aby ojciec pani tu przybył. Księżę Andegaweński zaś, gdy zechce, wcześniej wszystko dokona.

— Jakże go powstrzymać?

Pan de Monsoreau milczał.

Zrozumiałam myśl jego i spuściłam oczy.

— Panie — rzekłam po chwili — wydaj rozkazy Gertrudzie, ona usłucha...

Nieznacznym uśmiechem przebiegł po ustach pana de Monsoreau, na to pierwsze odwołanie się do niego.

Rozmawiał kilka chwil z Gertrudą.

— Pani — odezwał się — ażeby nie widziano, jak stąd będę wychodził, pozwól mi dwie albo trzy godziny przepędzić w twojem mieszkaniu.

Miał prawo tego wymagać; wskazałam mu więc krzesło, prosząc, aby usiadł.

Wtedy poznałam, jak wielką miał hrabia nad sobą władzę.

W jednej chwili zmienił się zupełnie; mówił dużo i zajmująco.

Hrabia wiele podróżował, dużo widział; po paru godzinach pojęłam, jakim sposobem pozyskał wpływ na mego ojca.

Bussy westchnął.

Gdy noc zapadła, hrabia zadowolony z rozmowy, podniósł się i wyszedł.

Wieczorem obie z Gertrudą stanęłyśmy na naszym punkcie obserwacyjnym.

Tym razem spostrzegłyśmy dwóch mężczyzn, przypatrujących się domowi.

Zbliżali się do bramy, to znów oddalali. Około jedenastej odeszli.

Nazajutrz Gertruda napotkała tego samego młodzieńca; przyszedł do niej i wypytywał, jak pierwej.

Tym razem Gertruda rozmawiała z nim.

Następnego dnia więcej mu zwierzyła.

Mówiła, że jestem wdową po pewnym radcy, który pozostawił mi mały zaledwie fundusz, co zmusza mnie do ustronnego życia.

Chciał więcej jeszcze pytać, lecz musiał na tem poprzestać.

Na drugi dzień Aurilly zaczął widać niedowierzać opowiadaniu Gertrudy; mówił o Anjou, o Beauge i wymienił nazwisko Meridor, odpowiedziała mu, że te nazwiska są jej zupełnie nieznane.

Wtedy wyznał, że należy do dworu księcia Andegaweńskiego, że ksiązę mnie widział i pokochał; następnie czynił jej hojne obietnice, w razie gdyby zgodziła się wprowadzić do mnie księcia.

Pan de Monsoreau przychodził co wieczora i zawsze mu opowiadałam, co zaszło.

Bawił często aż do północy i był widocznie niespokojny.

W sobotę wieczorem przybył blady i wzruszony niezwykle.

— Słuchaj pani — rzekł — musisz zgodzić się, aby ślub odbył się w środę lub czwartek.

— Dlaczego? — zawołałam.

— Bo ksiązę Andegaweński jest gotów na wszystko, pogodził się z królem i niczego się nie obawia.

— A może do środy jaki wypadek przyjdzie nam w pomoc?

— Być może... Ja jutro już wyjeżdżam do Monsoreau.

— Wyjeżdżasz pan?... — odpowiedziałam z wyrazem przestrochu i radości zarazem.

— Tak... jadę właśnie dla przyspieszenia chwili, o której pani mówiłam.

— A jeśli we środę w tem samym będziemy położeniu, cóż czynić wypada?...

— Cóż mogę przeciw księciu?... nie mając prawa cię bronić, muszę ulec konieczności.

— Ach! mój ojczy! — zawołałam.

Hrabia wlepił wzrok we mnie.

— Więc mię pani nienawidzisz?  
— Ach! panie.  
— Cóż mi masz do zarzucenia?...  
— Och! nic; przeciwnie.  
— Alboż nie byłem przyjacielem pełnym poświęcenia, nic nie wymagającym bratem?  
— Dałeś pan tego dowody.  
— Czyż nie mam twoich przyrzeczeń?...  
— Tak.  
— Czym je kiedy przypominał?...  
— Nigdy.  
— A przecież, gdy los stawia cię pomiędzy nieślawą, a przyzwoitym bytem, wahasz się i wolisz być kochanką księcia Andegaweńskiego, niż hrabiego de Monsoreau.

— Ja tego nie mówię...  
— A więc postanów.  
— Postanowiłam.  
— Być hrabiną de Monsoreau... raczej, niż kochanką księcia?  
— Kochanką księcia!... a to pochlebne...  
Milczałam.

— Mniejsza o to — rzekł hrabia. — We środe zobaczymy.

Nazajutrz Gertruda wyszła jak zwykle, lecz nie widziała pana d'Aurilly; następnie wyszła powtórnie, lecz go nie spotkała. I za trzecim razem nie była szczęśliwszą.

Posłałam Gertrudę do pana de Monsoreau. Wyjechał, niewiadomo dokąd.

Byłyśmy same i opuszczone; pierwszy raz uznałam, że byłam niesprawiedliwą względem hrabiego.

— O!... pani — zawołał Bussy — nie powracaj do tego człowieka; w jego postępowaniu jest coś zagadkowego.



Wieczór zapadł.

Byłam przygotowana na wszystko, byle nie wpaść w ręce księcia.

Uzbroiłam się w sztylet i w razie wypadku, gotowa byłam śmierć sobie zadać.

Obwarowałyśmy się w pokoju; przez niepojęte niedbalstwo, brama od ulicy nie miała zasuw.

Zgasiwszy światło, stanęłyśmy w oknie.

Było całkiem spokojnie, aż do jedenastej wieczorem... naraz pięciu mężczyzn wyszło z ulicy Ś-go Antoniego, naradzali się i potem ukryli pod pałacem Tournelles.

Zaczęłyśmy drżeć... ci ludzie czyhali na nas.

Stali nieruchomo przez jaki kwadrans.

Potem ukazało się dwóch innych z ulicy Ś-go Pawła.

Księżyc wychylił się z za chmur, i Gertruda w jednym z nich poznała Aurillego.

— Niestety!... panienko, to oni!... — mówiła biedna dziewczyna.

— Tak, to oni — odpowiedziałam — drżąc z przestachu — a tamtych pięciu przyjdą im na pomoc.

— Muszą wyważyć bramę — mówiła Gertruda, a wtedy sąsiedzi usłyszą i nadbiegną.

— Czy przybiegną?... Alboż wiedzą, kto tu mieszka?... Niestety!... tylko hrabia jest naszym obrońcą.

— Dlaczego pani nie chcesz być hrabiną?...

Westchnęłam.

### ROZDZIAŁ III.

#### ZAŚLUBINY

Tymczasem dwaj mężczyźni, którzy ukazali się z ulicy Ś-go Pawła, podeszli pod nasz dom i stanęli pod oknami.

Otworzyłyśmy okna cichutko.

— Jesteś pewny, że to tutaj?... — zapytał jeden z nich.

— Tak, mości ksiązę, piąty dom od rogu ulicy Ś-go Pawła.

— A czy się klucz nada?...

Chwyciłam za rękę Gertrudę i ścisnęłam mocno.

— A gdy otworzymy?...

— To moja rzecz; służąca nas wprowadzi. Wasza książęca mość masz w kieszeni klucz złoty, który wszędzie wstęp zapewnia.

— Otwieraj więc.

Usłyszałyśmy skrzyp klucza w zamku.

Lecz nagle, mężczyźni ukryci poskoczyli, wołając: śmierć! śmierć!

Nie zrozumiałam nic więcej; myślałam tylko, że jakaś niespodziewana pomoc przyszła nam z nieba.

Padłam na kolana i dziękowałam Bogu.

Lecz ksiązę pokazał się tylko, powiedział swoje nazwisko, a wszyscy umilkli, szpady schowali w pochwy i wtył się cofnęli.

— Tak — rzekł Bussy — nie na księcia oni czadowali, lecz na mnie.

— W każdym razie napad ten znięchęcił księcia.

Widziałyśmy, jak się oddalał, pięciu zaś mężczyzn zajęło znów stanowisko przy pałacu Tournelles.

Widocznie, że przynajmniej na tę noc, niebezpieczeństwo było zażegnane...

Byłyśmy jednak bardzo niespokojne.

Staliśmy przy oknie, czekając na jaki wypadek.

Niedługo czekałyśmy.

Na środku ulicy Ś-go Antoniego ukazał się mężczyzna na koniu.

Był to bezwątpienia ten, na którego zaczajeni czy-

hali, ponieważ krzyknęli: do broni! do broni! i poskoczyli ku niemu.

Wiesz pan już, że tym jeźdźcem byłeś ty właśnie.

— O pani — rzekł Bussy, — że młoda kobieta opowiadając zdradzi jakąś tajemnicę serca — oprócz tego, że walczyłem, nic nie wiem, bo zaraz zemdlałem.

— Zbytecznem jest mówić panu — ciągnęła Diana nieco zarumieniona — że nierówna walka budzi zawsze zajęcie, to też lękałyśmy się i drżały.

Widziałyśmy, jak koń twój upadł i sądziłyśmy, żeś zgubiony.

Lecz waleczny Bussy zasługiwał na swoją sławę.

Podniosłeś się i uderzyłeś na nieprzyjaciół: nakoniec, otoczony ze wszystkich stron, biłeś się jak lew, z twarzą zwróconą ku przeciwnikom i oparłeś się o bramę.

Wtedy, przyszło mi na myśl, aby ci otworzyć i obiedwie zeszyliśmy na schody.

Jak mówiłam, byłyśmy obwarowane z wewnątrz i trzeba było usunąć wprzód wiele sprzętów; gdyśmy zeszyły, już brama była zatrzęsnięta.

— Zdumione mówiłyśmy: co to za człowiek i jak wszedł?

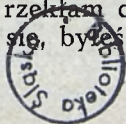
Wkrótce dało się słyszeć stąpanie; ukazał się mężczyzna chwiejający się, wyciągnął rękę i upadł z głuchym jękiem na pierwszych stopniach schodów.

Widocznie, że ten mężczyzna, szukający schronienia, skrzytał z drzwi otworzonych przez księcia Andegaweńskiego.

Obawiać się go nie miałyśmy potrzeby, bo on to naszej potrzebował pomocy.

— Światła! — rzekłam do Gertrudy.

Nie myliłyśmy się, byłeś pan omdlały.



Widziałyśmy, jak pan broniłeś się i jako waleczny, zasługiwałeś na opiekę.

W jećnej chwili wniosłyśmy cię do pokoju i położyły na łożku.

Byłeś ciągle nieprzytomny i pomoc chirurga zdawała się konieczna.

Gertruda przypomniała sobie, że słyszała o cudownej kuracji przeprowadzonej przez lekarza z ulicy Beautrellis.

— Ten człowiek może nas zdradzić, — rzekłam.

— Bądź pani spokojna, mam na to sposób.

— Jest to odważna i rozsądna dizewczyna — mówiła po chwili przestanku Diana.

Ufam jej zupełnie.

Wzięła pieniądze, klucz i sztylet, a ja zostałam sama przy panu i modliłam się za ciebie.

— Niestety! pani — rzekł Bussy — nie znałem mojego szczęścia.

W kwadrans powróciła Gertruda, wiodąc młodego lekarza z zawiązanemi oczyma.

Byłam właśnie w salonie, kiedy go wprowadziła. Tu dopiero odwiązała mu oczy.

— Tak — rzekł Bussy — w tej chwili odzyskałem przytomność i zdawało mi się, że widzę ciebie pani wchodzącą.

— Weszłam w istocie; niepokój przemógł we mnie; zadałam kilka pytań lekarzowi i upewniona o pańskim bezpieczeństwie, wyszłam.

— Wszystko to zostało w mojej pamięci — rzekł Bussy — a jednak sądziłem, że to był sen tylko.

— Skoro lekarz opatrzył ranę, wydobyl z kieszeni flaszeczkę z różowym płynem i wlał ci kilka kropli w usta. Był to, jak mówił, eliksir na sen i zmniejszenie gorączki.

W rzeczy samej, połknąwszy ten napój, przy-  
mknąłeś oczy i wpadłeś w omdlenie.

Przełękłam się lecz lekarz mię uspokoił.

— Wszystko będzie dobrze, — mówił, — niech  
tylko zaśnie.

Gertruda znowu zawiązała mu oczy i odprowa-  
dzała aż na ulicę Beautrellis.

Uważała tylko, że liczył kroki.

— W rzeczy samej — odezwał się Bussy — po-  
liczył je.

To zatrwożyło nas nieco, lekarz mógł zdradzić,  
a więc postanowiłyśmy zatrzeć ślady gościnności.

Przywołałam całą moją odwagę.

Była druga po północy i ulice puste.

Gertruda podniosła pana, ja jej pomogłam i wy-  
niosłyśmy cię nad fosę Temple.

Strwożone powracałyśmy śpiesznie.

Nie spotykałyśmy nikogo i nikt nas nie widział.

— A! pani — rzekł Bussy, składając ręce. — Jak-  
że odwdzięczę się za to, co dla mnie uczyniłaś?

Nastąpiło milczenie, w czasie którego Bussy spo-  
glądał z uwielbieniem na Dianę.

Piękna kobieta oparła głowę na rękę.

Wtem zaczął bić zegar na kościele świętej Kata-  
rzyny.

— Druga!... — zawołała Diana — druga! a pan  
tutaj...

— A! pani — odezwał się Bussy tonem błagal-  
nym — pozwól mi jeszcze pozostać i wysłuchać  
wszystkiego. Może potrafię być ci w czem użyteczny.  
Wyobraź sobie, że Bóg dał ci brata i powiedz mu, co  
dla siostry uczynić może.

— Niestety! teraz nic — odrzekła Diana — już  
za późno.

— Więc cóż się przytrafiło nazajutrz? coś pani

robiła przez ten dzień, w którym myślałem tylko o tobie, nie wiedząc, czy jesteś snem, czy rzeczywistością?

— Tego dnia — odrzekła Diana — Gertruda wyszła i spotkała Aurillego. Nalegał na nią więcej niż kiedykolwiek, nie mówił o wypadkach wczorajszych, lecz w imieniu swojego pana, żądał widzenia się.

Gertruda niby zezwalała, lecz żądała zwłoki do środy, to jest do dnia dzisiejszego.

Aurilly zapewniał, że jego pan będzie cierpliwy.

Miałyśmy więc trzy dni czasu.

Wieczorem przybył pan de Monsoreau.

Opowiedziałyśmy mu wszystko, zamilczając tylko o panu.

Nadmieniłyśmy, że ksiązę otworzył bramę fałszywym kluczem, ale gdy miał wchodzić, został napadnięty przez pięciu kawalarów, pomiędzy którymi byli panowie d'Epéron i Quelus.

Słyszałam dwa te nazwiska i powtórzyłam.

— Tak, tak — rzekł hrabia — słyszałem o tem; klucz dorobiony! tego się nie spodziewałem.

— Czy nie można zmienić zamku?...—zapytałam.

— Dorobią nowy — odpowiedział hrabia.

— Przybić zasuwy.

— Przyjdą w dziesięciu i wyważą.

— A ten wypadek, co panu miał dać przewagę nad księciem?

— Opóźniony.

Zamilkłam, zimny pot wystąpił mi na czoło, bo widziałam, że niema innego środka, jak tylko zostać żoną hrabiego.

— Panie — rzekłam — ksiązę przyrzekł czekać do środy, ja proszę cię o zwłokę do wtorku.

— Dobrze więc, będę w tym dniu — odpowiedział hrabia.

I nie rzekłszy słowa więcej, wyszedł.

Ścigałam go oczyma; zamiast odejść, poszedł pod pałac Tournelles i widać postanowił czuwać nade mną przez całą noc.

Ten nowy dowód poświęcenia, był dla mnie nowym ciosem.

Dwa dni minęły jak błyskawica i nic nie zamięciło naszego spokoju.

Co przez te dwa dni wycierpiałam, niepodobna opisać.

Gdy noc druga nadeszła, czułam się osłabiona; wszelkie uczucia zdawały się we mnie zamierać.

Byłam zimna, milcząca, nieczuła z pozoru jak posąg; serce tylko biło gwałtownie.

Gertruda stała w oknie.

Ja siedziałam tu, gdzie teraz, i kiedy niekiedy chustką pot z czoła ocierałam.

Nagle Gertruda wyciągnęła ku mnie rękę i rzekła:

— Pani.

— Co? — zapytałam.

— Czterech ludzi... widzę czterech. Zbliżają się... otwierają... wchodzą.

— Niech wejdą — odpowiedziałam machinalnie.

— Ale ci czterej... to bezwątpienia książę Andegaweński, Aurilly i dwóch jeszcze.

Za całą odpowiedź, dobyłam sztylet i położyłam na stole.

— O! pozwól mi pani chociaż ich zobaczyć — zawołała Gertruda, stając przy drzwiach.

— Zobacz — odpowiedziałam.

Po chwili Gertruda powróciła.

— Panienko — rzekła — to pan hrabia.

Schowałam sztylet, nie wymówiwszy słowa.

Tylko głowę zwróciłam w stronę hrabiego.

Zepewne strwożyła go bladość moja.

— Cóż mi to mówiła Gertruda!... — zawołał —

pani wzięłaś mnie za księcia i byłabyś sobie życie odebrała?

— Pierwszy raz widziałam go wzruszonym.

Czy to wzruszenie było prawdziwe, czy zmyślone?

Nastąpiła chwila milczenia.

— Wiesz pani, zapewne, że nie sam przyszedłem?... — mówił hrabia.

— Gertruda widziała cztery osoby.

— Czy pani się nie domyślasz, co to za jedni?

— Sądzę, że jeden z nich ksiądz, a dwaj świadkowie...

— A więc pani jesteś przygotowaną zostać moją małżonką?

— Wszak taka była umowa? Tylko przypominam warunek, że obrzęd ma się odbyć w obecności mojego ojca.

— Pamiętam o tem, lecz gdy okoliczności nagła...

— Tak, wiem o tem.

— A więc?

— Jestem gotowa zaślubić pana. Pamiętaj tylko, że wtedy tylko wejdiesz w swe prawa, gdy ojciec mój przybędzie.

Hrabia zmarszczył brwi i usta przygryzł.

— Pani — rzekł — nie chcę krępować twej woli, a jeżeli nawet cięży ci słowo dane, zwracam je. Jesteś wolną, tylko...

Zbliżył się do okna i spojrział na ulicę.

— Tylko — rzekł — patrz...

Podniosłam się, jakby poruszona siłą, która nam każe przekonać się o nieszczęściu, i pod oknem, spostrzegłam człowieka w płaszczu, który jakby chciał do domu wejść.

— A! Boże — mówił hrabia — czy to było wczoraj?



— Tak hrabio, około dziesiątej wieczór.

— Mów pani dalej — prosił Bussy.

Za chwilę inny mężczyzna połączył się z pierwszym; ten miał latarkę w ręku.

— Co pani myślisz o tych dwóch ludziach?... — zapytał pan de Monsoreau.

— Myślę — odrzekłam — że to księżę i jego zauszniczy.

Bussy westchnął.

— Teraz — rzekł hrabia — rozkazuj pani, czy mam wyjść, lub zostać?

Wahałam się przez chwilę: tak, bo mimo listu ojca, mimo przyrzeczenia, mimo grożącego niebezpieczeństwa, jeszcze jakaś ludziła mi nadzieja.

— A! nieszczęśliwy!... — zawołał Bussy — człowiek w płaszczu, to ja, ten zaś z latarką, to Remy Haudouin, ów młody lekarz.

— To pan!... — zawołała zdumiona Diana.

— Tak, to ja, dręczony niepokojem, pragnąłem wynaleźć dom, w którym doznałem gościnności, chciałem ujrzeć ową kobietę, owego anioła, który mi się ukazał. O! mogę wykrzyknąć, że jestem nieszczęśliwy!

I Bussy czuł ciężący na sobie fatalizm, który skłonił Dianę do oddania ręki hrabiemu.

— A więc pani — rzekł po chwili — jesteś jego żoną?

— Od wczoraj — odpowiedziała Diana.

Znowu nastąpiło milczenie, które tylko westchnienia młodych ludzi przerywały.

— Lecz pan — zapytała Diana nagle — jak wszedłeś do tego domu?

Bussy w milczeniu pokazał jej klucz.

— Klucz!... zawołała — a kto go panu udzielił?...

—Wszak Gertruda przyrzekła księcia dzisiaj do pani wprowadzić?... Książę widział się z panem de Monsoreau i ze mną, lękając się zaś jakiej zasadzki, mnie wysłał.

I pan przyjąłeś to posłannictwo?... — rzekła Diana tonem wyrzutu.

— Był to jedyny środek dostania się do pani. Czyż mię pani będzie obwiniać, że szukał najwięcej rozkoszy i boleści w życiu?...

— Tak, bo lepiejby było, abyś mię pan nie widział więcej i zapomniał o mnie.

— Nie, pani — rzekł Bussy — mylisz się. Bóg zesłał mię, abym odłonił intrygę, której jesteś ofiarą. Słuchaj pani! Gdym cię ujrzał, poświęciłem ci moje życie. Moje posłannictwo dopiero się zaczyna; wszak żądałaś wiadomości od ojca?...

— Tak — odpowiedziała Diana — nic nie wiem, co się z nim stało.

— Podejmuję się przynieść pani wiadomość od ojca — rzekł Bussy — tylko pamiętaj o tym, który dla ciebie żyć pragnie.

— A klucz?... — zapytała z niepokojem Diana.

— Klucz zwracam pani, albowiem tylko z twej ręki chcę go otrzymać. Zaręczam przecież, że gdybym go posiadał, nie zdradziłbym zaufania.

— Ufam słowu Bussego — odpowiedziała Diana — zatrzymaj pan klucz u siebie.

I oddała go młodzieńcowi.

— Pani — rzekł Bussy — za piętnaście dni będziemy wiedzieli, kto to jest pan de Monsoreau.

Ukloniwszy się Dianie, Bussy wyszedł.

Diana zbliżyła się do drzwi, aby dłużej słyszeć kroki oddalającego się; odgłos ich oddawna już ucichł, a serce jej biło i łzami zasłzyły powieki.

## ROZDZIAŁ IV.

### JAK PODRÓŻOWAŁ HENRYK III, I ILE CZASU POTRZEBOWAŁ NA PRZEBYCIE Z PARYŻA DO FONTENEBLEAU

Dzień, który zabłysnął w pięć godzin po wypadkach przez nas opowiedzianych, oświecił bladym promieniem odjazd Henryka III-go do Fontainebleau, gdzie wielkie polowanie było przygotowane.

Wyjazd ten, dla każdego monarchy mało ważny, tutaj zrzędził niepospolity ruch i zamieszanie.

Od ósmej rano cały plac pod Luwrem przedłużony ulicą Astruce, zaludnił się tłumem szlachty dworskiej, ubranej w płaszcze z futrem, siedzieli na pysznych rumakach, obok nich mnóstwo paziów i lokai, wkońcu rota szwajcarów, mająca wyprzedzać kolasę królewską.

Karoca ta, ciągniona przez osiem mułów w bogatej uprzęży, godna jest szczegółowego opisu.

Było to pudło podłużne, czworoboczne, opierające się na czterech kołach, całe wewnątrz wysłane poduszkami, zasłonięte firankami, a zewnątrz wybite skórą lakierowaną; miało ono z piętnaście stóp długości, a osiem szerokości.

Na złych drogach, albo w górach, oprócz owych ośmiu mułów, przyprzęgano mnóstwo wołów.

Pudło to mieściło króla Henryka III-go i cały dwór jego, wyjąwszy królowę, Ludwikę de Vaudemont, która tylko w pobożnych pielgrzymkach towarzyszyła mężowi.

Zostawmy biedną królowę na stronie, a powiedzmy jaki był skład podróznego dworu króla Henryka III-go.

Pierwsze miejsce zajmował król, następnie jego lekarz Marek Miron; kapelan, którego nazwisko naszych czasów nie doszło; pięciu albo sześciu znajomych nam ulubieńców króla, obecnie będących w łaskach; dalej para wielkich chartów, które to siedząc, to leżąc, to łasząc się, nie mało przeszkadzały podróżnym; wkońcu koszyk z małemi hiszpańskimi pieskami, które król albo sam na kolanach trzymał, albo swoim towarzyszom podawał.

Niekiedy, z legowiska umieszczonego w tyle kolaski, wychodziła suka z wezbranemi piersiami i dawała ssać swoim małym w koszyku, wieszając się na królewskiej szyi przedniemi łapami, a opierając tylnymi na chartach.

U sufitu kolasy wisiała klatka ze złoczonego drutu, w której były najpiękniejsze turkawki, białe jak śnieg, z czarną przepaską na szyjach.

Skoro przypadkiem jaka przedstawicielka płci żeńskiej zabłąkała się w kolasię, menażerja powiększała się o dwie albo trzy mały, albowiem eleganci dworu ostatniego z Walezjuszów, bardzo mały lubili.

Najświętsza Panna z Châtres, wyrobiona z marmuru przez Jana Goujon dla króla Henryka II-go, stała w złoczonej niszy, w głębi kolasy, spoglądając na swego boskiego syna z wyrazem zdumienia.

Dlatego też ówczesne pisemka, — a było ich wiele — nazywały ową kolasę arką Noego.

Król siedział w głębi nad niszą Najświętszej Panny, u stóp Quelus i Maugiron skubali wstążki.

W innym kącie siedział doktor z kapelanem: d'O i d'Epernon patrzyli przez szczeliny firanek i obudzeni rano, ziewali jak charty, nakoniec Chicot, siedział przy jednych drzwiach, mając nogi zwieszane zewnątrz, aby mógł zeskakiwać, albo wsiadać dowolnie.

Przybywszy na plac Chatelet, Chicot zanucił piosnkę.

Śpiewał on kantyczki, albo deklamował satyryczne wiersze, stosownie do okoliczności i humoru.

Kapelan, który jak wiemy, rozmawiał z Mironem, odwrócił się i zmarszczył brwi.

— Chicot, mój drogi — mówił król — bądź ostrożny, szarp sobie moich, ale daj pokój sługom bożym.

— Dziękuję za ostrzeżenie — odrzekł Chicot — nie uważałem, że nasz zacny kapelan rozmawia z doktorem, który dzisiaj trzeciego pacjenta na tamten świat wyprawił; kiedy tak, to nową zaśpiewam piosnkę.

— Na jaką nutę? — zapytał król.

— Na tę samą — i zaczął beczeć na całe gardło.

*Nasz pan choć winien miljony,*

— Więcej — rzekł król — twój poeta nie dobrze wie o wszystkim.

Chicot znowu śpiewał:

Nasz pan choć winien miljony  
Niechaj się nie trwoży o to;  
Zsypie się srebro i złoto,  
Kiedy każdy ulubiony  
Rady mu swojej udzieli.

— Wybornie — rzekł Quelus, nawijając jedwabne czółenko — piękny masz głos Chicocie; dalej, drugą zwrotkę, mój przyjacielu.

— Wależjusz — rzekł Chicot, nie odpowiadając Quelusowi — zakaż im nazywać mię przyjacielem, bo mię to obraża.

— Mów wierszem Chicocie — odpowiedział król — twoja proza nic nie warta.  
— Dobrze! — I zaczął:

Ten wynajdzie nowe szaty,  
Ten modnie fryzy skarbuje,  
Ten przypnie i pióra i kwiaty,  
Ten kosmetyk zinwentuje.

— Bravo! — rzekł król — czy to nie ty d'O, wynalazłeś mączkę z ryżu?

— Nie, Najjaśniejszy panie — rzekł Chicot — to pan de Saint-Megrin, który przeszłego roku przeniósł się do wieczności. Szkoda, że tylko ta mączka może go unieśmiertelnić.

— Zapewne — odezwał się Schomberg.  
Chicot znowu zaśpiewał:

Ich włosy w miarę ucięte,  
Ich suknie najświeższej mody,  
Ręce i nogi ściśnięte,  
Każdy z nich piękny i młody.

— To stara piosnka — zrobił uwagę d'Epernon.

— Stara? wczorajsza.

— Ale moda zmienia się co godzina.

D'Epernon zdjął kapelusz, aby pokazać trefni-siowi włosy krótko ostrzyżone.

— A! piękna głowa! — rzekł Chicot.

I śpiewał dalej:

Czy sądzicie, że ojcowie  
Co na sławę pracowali,  
Po tych dłoniach i po głowie  
Wnukówby swoich poznali?

— Bravo! — mówił Henryk — gdyby mój brat był tutaj, bardzo byłby ci wdzięczny.

— Kogóż, krulu, nazywasz bratem? — zapytał Chicot. — Czy czasem nie Józefa Foulon opata u Ś-tej Genowefy, gdzie masz złożyć śluby?

— Bynajmniej, teraz mówię o moim bracie Franciszku.

— Prawda; ale to nie brat w Bogu; mówisz królu o Franciszku, synu Francji, z Bożej łaski księcia Brabancji, Lotaryngji, Luxemburgu, Alençons, d'Anjou, Turyngji, Berry, Evreux, Chateau-Thierry, hrabim Flandrji, Holandji, Zelandji, Perche-Montes, Meulan i Beaufort, Markizie państwa kościelnego, panu Frises i Malines, obrońcy sprawy belgijskiej, który z natury miał jeden nos, a ospa dwa mu zrobiła i na którego to zwrotkę napisałem:

Nic dziwnego, są dwa nosy;  
Bo takie zrządzenie nieba,  
I w tem sprawiedliwe losy —  
Dwom twarzom, dwóch nosów trzeba.

Ulubieńcy króla parsknęli śmiechem, bo książę Andegaweński był ich osobistym nieprzyjacielem i epigramat przeciwko księciu kazał zapomnieć przyśmiewek, wymierzonych przeciwko nim.

Co zaś do króla, ponieważ żaden nie ugodził go pocisk, śmiał się głośno, nie oszczędzał nikogo i pieśkom podawał ciastka.

Nagle nastąpiła cichość ponura, której Chicot nie przerywał, i trwała przez kilka minut.

Gdy kolasa przesuwała się około placu Maubert, na rogu licy Noyers, Chicot wyskoczył i padł na kolana przed domem dosyć lichego pozoru.

— Ha! poganinie — zawołał król — jeżeli masz klęczeć, to uklęknij przed krzyżem na ulicy Ś-tej Genowefy.

Chicot zamiast odpowiedzi, odmawiał na głos następującą modlitwę, z której król nie stracił ani słowa:

— Boże sprawiedliwy! oto dom, w którym Chicot tyle wycierpiał, nie dla ciebie, o Panie, ale dla jednego z twoich stworzeń. Chicot nigdy nie przyzywał nieszczęść na głowę sprawcy swojej niedoli, ani na Mikołaja Dawida, narzędzie cierpień jego. Nie panie, Chicot umiał czekać, bo Chicot jest cierpliwy; ale już temu lat sześć i Chicot wiele winien procentu panu Mayenne, umiarkowanego prawda, bo po dziesięć od sta, tak jak król płaci. Spraw Boże miłosierny, aby jeszcze na rok wystarczyło cierpliwości Chicotowi i aby się uzbierało więcej strzemion, któremi bito biednego Chicota i więcej krwi, którą z niego wylano, aby i pan Mayenne i Dawid nie mając czem płacić, do bankructwa przywiedzeni zostali.

W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

— Amen — powtórzył król.

Chicot pocałował ziemię z wielkiem zadowoleniem obecnych, nie pojmujących tej sceny i zajął swoje miejsce w kolasie.

— Powiedz mi — rzekł król, który chociaż w krótkim panowaniu wielką część władzy postradał, ale miał jeszcze przywilej pytania. — Powiedz mi Chicot, co znaczy ta twoja litanja i bicie się w piersi przed domem tak lichym?

— Najjaśniejszy panie — odparł Chicot — twój trefniś jest jak lis, który póty liże kamienie zlane krwią jego, aż się doczeka, że na tych kamieniach roztrzaska się głowa tych, którzy jego krew przelali.

— Najjaśniejszy panie! — zawołał Quelus — jak Wasza królewska mość mogłeś słyszeć — Chicot wymówił nazwisko księcia Mayenne — pewnie jego modlitwa miała na celu razy, o których mówiliśmy przed chwilą.



— Mów, panie Jakóbie de Luris, hrabio de Quelus — rzekł Chicot.

— A więc? — odezwał się Quelus.

— Ja sam opowiem wszystko, — przerwał Chicot. — W tym domu, przed laty, miałem kochankę, śliczną, miłą istotę. Pewnej nocy, gdy byłem u niej, pewien zazdrosny książę kazał otoczyć dom, porwać Chicota i obić tak mocno, że ten nieszczęśliwy oknem musiał wyskoczyć. Ponieważ jednak nie zabił się, dlatego też, ilekroć tamtędy przechodzi, klęka i dziękuje Bogu za ocalenie.

— A! biedny Chicot, modląc się, po chrześcijańsku postępuje.

— A więc cię dobrze oćwiczyli?... — zapytał król.

— Cudownie, Najjaśniejszy panie; przecież nie tak, jakbym pragnął.

— Jakto?

— W istocie, nie gniewałbym się o jakie porządne baty.

— Za twoje grzechy?

— Bynajmniej, za grzechy pana de Mayenne.

— A! rozumiem; chcesz oddać Cezarowi...

— O! nie mieszajmy rzeczy Najjaśniejszy panie: Cezar, to wielki wódz, to znakomity wojownik, to starszy brat tego, który pragnie być królem Francji; ma on dług u Henryka Walezjusza, a kiedy ty synku swoje zapłacisz to i ja o moich pomyślę.

Henryk nie lubił, aby mu mówiono o krewnych, dlatego apostrofa Chicota uczyniła go tak ponurym, że gdy przybył do Bicetre, nikt nie miał odwagi rozpocząć przerwanej rozmowy.

Trzech godzin było potrzeba na przejechanie z Luwru do Bicetre.

Najwięksi optymiści liczyli, że przybędą do Fontainebleau nazajutrz wieczorem, pesymiści zaś chcieli się zakładać, że trzeciego dnia około południa.

Chicot utrzymywał, że wcale nie przybędą.

Wyjechawszy z Paryża, orszak począł się swobodniej poruszać; ranek był piękny, wiatr mniej gwałtownie powiewał i słońce przebiło się z za obłoków; rzekłbyś, że to dzień jesienny, w którym przy szmerze powiędłych liści, oko podróżnego z żalem spogląda na nagie drzewa.

Była trzecia po południu, gdy orszak przybył do Juvisy.

Stąd widać było most zbudowany na Orge i wielki zajazd dworu francuskiego, z którego dolatywała woń pieczywa i gwar wesoły.

Nos Chicota naprzód poczuł zapachy kuchenne.

Wychylił się więc z kolasy i ujrzał wielu mężczyzn, osłoniętych futrami.

Pomiędzy nimi była osoba gruba i krótka, której szeroki kapelusz twarz całą zakrywał.

Ci ludzie widząc przybywający orszak, śpiesznie zniknęli.

Lecz mężczyzna gruby a krótki nie zdołał ująć wzroku Chicota.

Skoro go tylko zobaczył, wyskoczył z kolasy, wziął konia od jednego z paziów i opuścił orszak postępujący do Essonnues, gdzie król miał nocować.

Przybywszy pod okna zajazdu, spojrzął przez szyby i przekonał się, że owi mężczyźni byli tam, a człowiek gruby i krótki odbierał od nich szczególne oznaki uszanowania.

Że zaś Chicot nie był poznanym, zamiast wejść do wspólnej izby, zażądał butelki wina w przeciwnym pokoju, i usiadł tak, aby nie wyszedł nikt, którego by on naprzód nie widział.

Z tego pokoju mógł Chicot zapuszczać wzrok

w róg, gdzie przy ogromnym kominie na ławie siedział gruby i krótki człowiek.

— Nie zbłądziłem — rzekł Chicot, — modląc się przed domem przy ulicy Noyers, rzecby można, że przewąchałem powrót tego człowieka. Ale dlaczegoż powracać tajemnie do stolicy dobrego naszego Heroda? Czego się kryć przed nim? Czyżby Bóg wysłuchawszy mojej modlitwy, wcześniej mi jeszcze wyplątę naznaczył.

Nie długo zauważył Chicot, że z miejsca w którym się ulokował, nie tylko widzieć, ale i słyszeć można.

Wyteżył więc słuch i oczy.

— Panowie — mówił gruby człowiek do swoich towarzyszy — czas odjeżdżać; ostatni lokaj z orszaku dawno przejechał i droga jest zapewne bezpieczna.

— Bezpieczna — odpowiedział głos, na który zadrżał Chicot; a który pochodził z piersi człowieka, którego z początku trefniś nie zauważył.

Figura, która głos wydała, była wysoka, chuda i blada.

— A! panie Mikołaju — mówił do siebie Chicot z dzikim uśmiechem — piejesz dobrze.

Będziemy mieli odmianę i to może niedługo.

Wypróżnił szklanice, zapłacił co się należało i zabierał się do drogi.

Ostrożność była konieczną, albowiem i siedmiu mężczyzn zapłaciło swą należność, albo raczej jego — gruby i krótki uścił ją za wszystkich; następnie, każdy wsiadł na konia i osłonięci zmrokiem, puścili się drogą ku Paryżowi.

— Dobrze — rzekł Chicot — jedzie do Paryża, zatem i ja powracam.

I wsiadłszy na konia, puścił się za nimi, aby ich

nie tracić z oczu, albo słyszeć przynajmniej tętent ich koni.

Cała ta kompanja, zjechawszy z drogi Fromenteau, przez pola, dostała się do Choisy, i przebywszy Sekwanę po moście Charenton, weszła przez bramę świętego Antoniego, aby się umieścić w pałacu księcia de Guise, który zdawał się na nich oczekiwać.

— Dobrze — mówił Chicot, nietylko Mayenne, ale i Guise tu się znajdują. Do tej chwili nic tu nie było zajmującego, ale teraz... czekajmy.

I czekał blisko godzinę, mimo głodu i zimna, które go szarpać zaczęły.

Nakoniec brama pałacu otworzyła się, ale wyszło nie siedmiu rycerzy, tylko siedmiu zakapturzonych mnichów.

— Jakie nadspodziewane rozwiązanie!... — mówił do siebie Chicot. Pałac księcia de Guise przemienił się w jakąś świątynię, bo z niego grzesznicy wychodzą jak baranki. To coraz bardziej zajmujące...

I Chicot poszedł za mnichami, będąc pewny, że habity okrywają tych samych ludzi, których widział przedtem w płaszczach.

Mnichy przeszli Sekwanę przez most Najświętszej Panny, przybyli Cite i przez plac Maubert udali się na ulicę Ś-tej Genowefy.

— Duszyczki!... — zawołał Chicot, zdejmując kapelusz przed domem, przed którym rano się modlił. — Czy mam wrócić do Fontainebleau?... W tym wypadku nienajkrótszą obrałbym drogę.

Nie, tak daleko nie zajedziemy.

Mnichy zatrzymali się przed bramą Opactwa Ś-tej Genowefy; furtjan oglądał z uwagą ręce wchodzących i wpuszczał ich następnie.

— Ha!... — pomyślał Chicot — chcąc wejść do Opactwa, trzeba mieć czyste ręce. Zapewne będzie tam coś ważnego.

Spojrzał wokoło siebie i widział, jak mnichy, to po dwóch, to po trzech, to samotnie, ze wszech stron zdążali do Opactwa.

— Ha!... — rzekł — to widzę dzisiaj kapituła; na honor, pierwszy raz bierze mię ochota być na kapitule.

A mnichy pokazawszy ręce, czy jakiś znak, wchodzili jeden po drugim.

— Wszedłbym z nimi — mówił Chicot — ale potrzeba mi dwóch rzeczy: naprzód habitu, bo żadnego świeckiego pomiędzy nimi nie widać, następnie znaczka, który pokazują odźwiernemu. Ach! bracie Gorenflot, gdybym cię miał pod ręką.

Wykrzyknik ten, stosował się do jednego z mnichów zakonu Ś-tej Genowefy, znajomego Chicota, z którym w dniu procesji króla wypróżnił butelkę przy bramie Montmartre.

Liczba mnichów tak rosła, że, rzec można, połowa Paryża przywdziała habity, brat zaś furtjan niezmordowany, wciąż oglądał im ręce.

— Przekonajmy się — rzekł do siebie Chicot — tam musi być coś nadzwyczajnego. Teraz wpół do ósmej i powinienem Gorenflota zastać pod „Rogiem obfitości”; zwyczajnie o tej godzinie wieczerza.

Chicot pozwolił mnichom swobodnie krążyć koło opactwa, sam zaś, puściwszy się galopem, przybył na ulicę Ś-go Jakóba, gdzie wprost klasztoru Benedyktynów wznosił się handel pod „Rogiem obfitości”.

Chicot był znanym w tym domu, nie jako zwyczajny gość, lecz jako tajemnicza jakaś osoba, która niekiedy przebywała zostawić tu talara i część swego dowcipu.

Właścicielem zakładu był Klaudjusz Bonhommet, człowiek zacny, który ustawicznie róg obfitości napełniał.

## ROZDZIAŁ V.

### PO DWAKROĆ JUŻ WSPOMNIANY BRAT GORENFLOT

Po dniu pogodnym, nastał piękny choć zimny wieczór, a noc jeszcze chłodniejsza. Z pod naciśniętych na uszy kapeluszy mieszczkańskich, widać było zgęszczoną parę, ziemia skrzypiała pod nogami, jednym słowem był to piękny wiosenny przymrozek, który podwójny nadaje powab róży, postawionej w oknie zajazdu.

Chicot, wszedłszy do sali, spojrzął po wszystkich kątach, a nie znajdując pana Klaudjusza, udał się poufale do kuchni.

Gospodarz zajęty był czytaniem pobożnem, w ogromnej rynce gotowało się mięsiwo, na silnym ogniu zapach rozchodził się po izbie.

Na odgłos wejścia Chicota, pan Bonhommet podniósł głowę.

— Ach! to pan — rzekł, zamykając książkę — życzę zdrowia i smacznego apetytu.

— Bardzo dziękuję za dobre życzenie, ponieważ to obydwom nam korzyść przynieść może... lecz to zależy..

— Od czego zależy?...

— Wiesz pan, że sam jeść nie lubię.

— Jeśli koniecznie potrzeba, będę jadł z panem.

— Dziękuję, mimo że wiem, jakim jesteś dobrym współbiednikiem, kogo innego ja szukam, mój panie.

— Może brata Gorenflota?... — zapytał Bonhommet.

— Tak jest; może już wczerał?...

— Jeszcze nie; śpiesz się pan jednak.

— Dlaczego?...

— Bo za pięć minut skończy.

— Cóż u licha!... jeszcze nie zaczął, a w pięć minut skończy?...

Chicot potrząsnął głową, co w krajach ucywilizowanych oznacza niedowierzenie.

— Panie — rzekł gospodarz — wszak dzisiaj popielec, zaczynamy post wielki.

— Ach!... prawda, ale...

— Jakież tam „ale“?...

— Nie mogę pojąć, żeby brat Gorenflot tylko pięć minut wieształ!... na honor, same cuda dzisiaj spotykam.

I jak podróżny, który pierwszy krok stawia na ziemi nieznannej, Chicot postąpił ku oddzielnemu gabineetowi, pchnął drzwi zasłonięte wełnianą firanką i przy blasku świecy ujrzał zakonniką, który zajadał postny szpinak i przegryzał dla smaku serem z Sureny.

Podczas gdy głodny zakonnik posila się mało pożywną potrawą, poznamy z nim bliżej naszych czytelników.

Brat Gorenflot miał około czterdziestu lat i około pięciu stóp wysokości.

Mała jego postać, jak mówił sam, miała cudownie harmonijne proporcje, bo co na wzroście stracił, zyskał na tuszy.

Liczył bowiem trzy stopy szerokości w ramionach, więc w każdym razie czyni to ośm stóp objętości.

Z owych herkulesowych ramion wychylała się szeroka szyja, nabrzmiała grubemi, jak powrozy, żyłami.

Lecz, że nie był czuły i wrażliwy, niebezpieczeństwo apopleksji nie groziło mu, a wzruszenie, ja-

kiego doznał w chwili, gdy wszedł Chicot, było może najsilniejszym, jakiego doświadczył w życiu.

— Mój przyjacielu, co tu robisz? — zawołał nasz gaskończyk, spoglądając z kolei na zielsko, na nieobjaśnioną świecę i na czarę napelnioną jakimś zafarbowanym płynem.

— Jak widzisz, przyjacielu, wieczoram, — odpowiedział Gorenflot głosem silnym, jak dzwon jego opactwa.

— To ma być wieczerza? zielsko i ser?

— Wstępna środa braciszku; post, a trzeba myśleć o zbawieniu duszy — odpowiedział Gorenflot nabożnie wnosząc oczy do góry.

Chicot się zdumiał, albowiem nieraz widział zakonnik w inny sposób obchodzącego posty.

— Alboż nasze zbawienie — rzekł — ma zależeć od wody i zielska?

— W piątek i w sobotę będziesz się wstrzymywał od mięsnych potraw — odrzekł Gorenflot.

— A o której jadłeś śniadanie?

— Nie jadłem wcale, mój bracie — smutnie odpowiedział zakonnik, coraz bardziej przez nos mówiąc.

— Nie idzie tu o twoje przez nos gadanie, to ja lepiej niż ty potrafię; ale coś robił, mój drogi?

— Pisałem mowę.

— Mowę? a to naco?

— Dzisiaj będę ją miał w opactwie.

— Mowa! dzisiaj — pomyślał Chicot.

— A nawet muszę się śpieszyć — mówił Gorenflot, aby słuchacze nie czekali.

Chicot przypomniawszy sobie mnóstwo słuchaczy, pomiędzy którymi był pan de Mayenne, pytał siebie, dlaczego Gorenflot, mimo licznych przymiotów mało posiadający wymowy, został wybrany przez Jó-



zefa Foulon, ówczesnego opata, na mówcę, mającego kazać wobec tak licznego zgromadzenia?

— A o której — rzekł — będziesz prawił to kazanie?

— Od dziewiątej, do wpół do dziesiątej, mój bracie.

— Teraz kwadrans na dziewiątą, możesz pięć minut zaczekać. Wszakże to przeszło ośm dni jakieśmy razem nie jedli?

— Nie moja wina — odrzekł Gorenflot — i wierzaj mi bracie, nasza przyjaźń nic na tem nie ucierpiała; twoje obowiązki zmuszają cię być przy królu, moje zaś chodzić po kweście, a potem modlić się.

— Powinniśmy zatem być kontenci, żeśmy się spotkali.

— Ja bardzo jestem uradowany, ale muszę cię opuścić.

I zrobił poruszenie, jakby chciał powstać.

— Zjedz przynajmniej zielsko — rzekł Chicot, kładąc mu rękę na ramieniu i sadzając napowrót.

Gorenflot spojrział na szpinak i westchnął; później zwrócił oczy na zafarbowaną wodę i odwrócił się.

Chicot odgadł, że może atakować.

— Czy przypominasz sobie ów obiadek przy bramie Montmartre; podczas gdy król się biczował, myśmy zjedli wyborną dziką kaczkę, kopę raków i wypili kilka butelek Burgunda. Czy przypominasz sobie to wino?

— To moje wino z Romanji.

— Tak, tak, to mleko, które ssałeś przyszedłszy na świat, godny synu Noego.

Gorenflot oblizał się.

— Prawda, dobre to było wino — rzekł — ale jest jeszcze lepsze.

— Pan Klaudivsz Bonhommet utrzymuje że ma

w swojej piwnicy wino, przy którym tamto z pod bramy Montmartre, jest tylko lura.

— Prawda — rzekł Gorenflot.

— Jakto, prawda? a ty pijesz ową lurę, mogąc pić wyborne wino? ha! ha!

Chicot mówiąc to, wziął czarę i wyrzucił przez okno.

— Na wszystko jest czas, mój bracie — mówił Gorenflot. — Wino dobre, gdy niema co robić; napiwszy się, dobrze chwalić Boga; przecież gdy kto ma mieć mowę, lepsza jest woda: „*facunda est aqua*”.

— „*Magis facundum est vinum*” i na dowód tego, chociaż także mam mieć mowę, wypiję butelkę owego wina z Romanji, a myślę, że i ty nie odrzucisz.

— Ale nie jedz tej zieleniny — rzekł zakonnik — bo niegodziwa.

—Brrr! — zawołał Chicot podnosząc talerz do nosa.

I znowu przez okno wyrzucił zieleninę z talerzem, następnie odwrócił się i zawołał:

— Panie Klaudjuszu!

Gospodarz ukazał się natychmiast.

— Panie Klaudjuszu — rzekł Chicot — przynieś mi dwie butelki wina z Romanji, najlepszego, jakie masz.

— Dwie butelki! a to naco — zapytał Gorenflot — ja nie piję.

— Jeżeli będziesz pił, to każę przynieść cztery, nawet sześć. Sam zaś będę miał dosyć, jeśli wypiję dwie.

— W rzeczy samej zupełnie dosyć, jeśli przytem będziesz jadł postne potrawy...

— Zapewne; któżby w poście jadł z mięsem?

Podczas, gdy gospodarz udał się po wino do piwnicy, on poszedł do kuchni i wyniósł stamtąd pularcę.

— Co tam robisz mój bracie?... — mówił Gorenflot — przeczuwając chęć gaskończyka — co tam robisz?

— Jak widzisz, zamawiam sobie tego karpia, aby go kto inny nie zabrał. We wstępną środę, ubiegają się o podobne potrawy.

— Karp!... — rzekł zdziwiony Gorenflot.

— Zapewne, że karp!... — odpowiedział Chicot — podsuwając pod nos zakonnika smaczny kasek.

— A od jakiegoż to czasu karpie miewają dzioby?... zapytał zakonnik.

— Gdzie tu dziób? to pysk.

— A skrzydła?

— To pletwy?

— A pióra?

— To łuski, mój przyjacielu; jak widzę, upiłeś się.

— Ja pijany!... — zawołał Gorenflot — ja pijany! piłem tylko wodę i jadłem szpinak.

— To właśnie woda bije ci do głowy.

— A! przez Boga; oto gospodarz, niech i on powie.

— Co ma powiedzieć?

— Czy to jest karp, czy pularda?

— Niech sobie będzie co chce, tylko niech prędzej odkorkuje wino, bo chcę się przekonać czy dobre.

Gospodarz odkorkował i nalał Chicotowi pół szklanki.

Chicot mlasnął językiem.

— A!... — rzekł — cóż mi się zrobiło? zupełnie smak straciłem. Nie umiem powiedzieć, czy lepsze, czy gorsze od tamtego pod bramą Montmarte.

Oczy Gorenflota zajaśniały, zaglądając do szklanki, w której jeszcze kilka kropel zostało.

— Skosztuj bracie — mówił Chicot — może ty masz lepszy smak ode mnie.

Gorenflot wziął szklanę, podniósł do ust i rzekł:

— To samo, ale...

— Jakie ale?

— Z takiej odrobiny trudno jest coś poznać.

— Gdybym wiedział, że nie będziesz miał mowy — rzekł Chicot, — prosiłbym, abyś ze mną spróbował owego wina.

— Chyba dla twojej przyjemności.

— Niech i tak będzie.

I nalał mu pół szklanki.

Gorenflot podniósł ją do ust z uszanowaniem i smakował z przejęciem.

— To lepsze, zaręczam ci, — rzekł.

— Chyba masz stosunki z gospodarzem.

— Znawca prawdziwy za pierwszym łykiem powinien poznać gatunek wina i jego lata.

— Bardzo byłbym ciekawy, z którego roku pochodzi to wino.

— Nic łatwiejszego — odparł Gorenflot przyciągając szklanę, nalej mi jeszcze kilka kropel, a powiem ci.

Chicot napełnił trzy czwarte szklanki, a zakonnik wychylił ją z wolna, lecz całą.

— „1651 — rzekł stawiając szklanę.

— Tak, tak — zawołał Klaudjusz Bonhommet, to święta prawda.

— Bracie Gorenflot — rzekł gaskończyk — wielkie masz doświadczenie.

— Tak, znam się nieco — odrzekł skromnie Gorenflot — i powstał chcąc odejść.

— Co robisz?... — zapytał Chicot.

— Wstaję, jak widzisz.

— Poco?

— Muszę iść na zgromadzenie.

— I nie zjesz ze mną kawałka karpia?

— A! mój drogi — mówił Gorenflot — jak widzę, mniej się znasz na potrawach, jak na trunkach. Panie Bonhommet, co to za zwierzę?

I wskazał na przedmiot sprzeczki.

Oberżysta spojrział z zadziwieniem.

— Tak — mówił Chicot — pytają się co to za zwierzę?

— A! cóż u licha, to przecież pularda.

— Pularda!... — powtórzył zasmucony Chicot.

— Nawet z Mans — dodał Bonhommet.

— A co?... — zapytał Gorenflot.

— Jak widzę, myliłem się — rzekł Chicot. — Ale ponieważ jeść mi się chce, a grzeszyłbym nie chciał, mój bracie, pozwól, że tę pulardę nazwę karpkiem.

— Zmiłuj się...

— Czy chcesz, żebym zgrzeszył?

— Niech i tak będzie — zakończył Gorenflot, który jako dobry współbiednik, upierać się nie umiał.

— Teraz — rzekł gaskończyk — za zdrowie nowo ochrzczonego karpia, możemy wypić...

— Za jego zdrowie?

— Tak.

— Zgoda.

I trąciwszy w nalane szklanki, wychylili je duszkiem.

— Panie Klaudjuszu — rzekł Chicot do gospodarza — każ mi tego karpia wsadzić na rożen, wysmarować suto masłem i skoro się dobrze zarumieni, podać.

Gorenflot nie rzekł słowa, ale spojrzeniem a nawet kiwnięciem głowy potwierdził zlecenie.

— Teraz — mówił Chicot — ponieważ w niczem

nie chcę naruszać postu, poprzestaną na karpiu z sardynkami: ale niech nam podadzą jeszcze dwie butelki owego wina z roku 1651-go.

Chociaż zapachy kuchenne poczęły bić w nos a nawet ślinka do ust płynęła zakonnikowi zadał on sobie przymus i powstał, chcąc wyjść.

— A zatem — rzekł Chicot — opuszczasz mię.

— Muszę, mój bracie — odrzekł Gorenflot, wznosząc oczy w górę, jakby chciał dać poznać, że czyni wielką ofiarę.

— To bardzo źle, że idziesz głodny, a masz przecie mówić...

— Dlaczego?... — zagadnął zakonnik.

— Bo ci głosu nie stanie, wszak Galien powiedział: „Pulmo hominis facile deficit”.

— Niestety!... — odrzekł Gorenflot — ja sam często tego doświadczam i gdybym miał głos, byłbym piorunem wymowy.

— A widzisz.

— Na szczęście — odparł Gorenflot przysiadając na stołku, mam wiele zapału.

— Tak, prawda; ale niedosyć zapału, trzeba i sił; na twojem miejscu mój bracie, zjadłbym sardynek i zakropiłbym winem.

— Dobrze, ale jedną tylko sardynkę i jedną szklanekę wina.

Chicot podał sardynkę i butelkę wina.

Zakonnik zjadł sardynkę i szklanekę wypróżnił.

— I cóż!... — zapytał Chicot, który zachęcając zakonnika do jedzenia i picia, sam chciał trzeźwym pozostać.

— W samej rzeczy — odrzekł Gorenflot — dużo mi lepiej.

— Do pioruna!... — zawołał Chicot — kto ma mieć mowę, powinien czuć się nie lepiej, ale zupełnie dobrze i na twojem miejscu zjadłbym jeszcze kawa-

łek karpia; jeśli nic nie zjesz, wino może od ciebie załatywać. „Merum sobro malè olet”.

— Masz słuszość, nie pomyślałem o tem.

Ponieważ w tej chwili zdjęto pularkę z rożna, Chicot ukrajał udko i podał Gorenflotowi.

— Na honor — rzekł brat — smaczna rybka.

Chicot odciął drugie dla zakonnika, a sam zaczął ogryzać skrzydełko.

— A cóż, wino będzie stało?... — rzekł wyjmując korek z trzeciej butelki.

Rozpalony i podniecony w żołądkowych pragnieniach, Gorenflot nie miał siły oprzeć się i zjadłszy udka, piersi, a nawet ogryzłszy kości, przywołał gospodarza.

— Panie Klaudjuszu — powiedział — okropnie jeść mi się chce i chciałbym, abys mi kazał zrobić jajecznicę ze słoninką.

— Zapewne; wszak nawet już zamówiona.

— Prawda, panie Bonhommet?

— Tak jest — odrzekł oberżysta nie mający zwyczaju sprzeciwiania się gościom, osobliwie w tem, co powiększało jego dochody.

— A więc przynieś — rzekł Gorenflot.

— Za pięć minut — odpowiedział gospodarz — i na znak dany przez Chicota śpiesznie wybiegł z pokoju.

— Ha!... — rzekł Gorenflot uderzając w stół wielką pięścią, uzbrojoną widelcem, teraz będzie mi dobrze.

— A co, nie mówiłem?

— Gdyby jajecznicę już była, napiłbym się cokolwiek.

I z okiem iskrzącem, Gorenflot wychylił ćwierć butelki.

— Więc byłeś chory?... — zapytał Chicot.

— Nie, mój przyjacielu, ale ta przeklęta mowa zupełnie mię osłabia, od trzech dni nad nią myślę.

— Będzie zapewne długa?

— Spodziewam się.

— Powiedz z niej cokolwiek, nim podadzą jajecznicę.

— Cóż u licha! mam mieć mowę przy jedzeniu, gdzieżeś widział coś podobnego?

— A! dla Boga, u króla codziennie przy stole rozprawiają.

— Ciekawym o czym?... — zapytał Gorenflot.

— O cnocie.

— Takie to muszą być i mowy.

— Dobrze, wcale dobrze.

Gorenflot zaczął nucić piosnkę stosowną do okoliczności, której gdy trzy zwrotki odśpiewał, Chicot zawołał:

— Bravo! bravo! — a potem dodał cicho — skoro się wyśpiewa, to będzie i gadał.

W tej chwili wszedł pan Bonhommet, niosąc w jednej ręce jajecznicę, a w drugiej dwie butelki.

— Dawaj! dawaj! — zawołał zakonnik, któremu oczy zaiskrzyły się, a otwarta gęba odsłoniła trzydzieści dwa zęby.

— Ale mój przyjacielu — rzekł Chicot — zdaje mi się, że masz mieć mowę.

— Mowa jest tutaj — odrzekł, uderzając się w czoło, któremu policzki już w części rumieńca udzieliły.

— O wpół do dziesiątej — mówił Chicot.

— Skłamałem; „omnis homo mendax confiteor“.

— A o której naprawdę?...

— O dziesiątej.

— O dziesiątej?.. Sądziłem, że o dziewiątej zamykają klauzulę.

— Niech sobie zamykają — odrzekł Gorenflot,



patrząc poprzez wino w szklanę nalaną — ja mam klucz przy sobie.

— Klucz!... — powtórzył Chicot — czy naprawdę masz klucz?..

— W kieszeni, tutaj...

— Niepodobna — mówił Chicot — przecież znam zwyczaje klasztorne, bom był kilkakroć na pokucie i wiem, że braciszкови nie powierzają klucza.

— Oto jest — rzekł Gorenflot, przechylając się na krześle i pokazując Chcotowi sztukę monety.

— Co!... co!... pieniądz — zawołał Chicot. — A!... rozumiem, przekupujesz furtjana, abyś mógł przychodzić, kiedy ci się podoba.

Gorenflot rozdziawił usta od ucha do ucha, owym miłym uśmiechem pijanego człowieka.

— „Sufficit“, — wyjąkał, i chciał monetę włożyć napowrót do kieszeni.

— Czekaj, czekaj — rzekł Chicot — pokażno ten pieniądz.

— Nic osobliwego, obraz bezbożnika, nic więcej.

— Tak, zapewne.

— Śmierć bezbożnikowi!... — wrzasnął Gorenflot. — Kto zabije bezbożnika, będzie zbawiony, a ja sam raj mu przeznaczam.

— Ho! ho! — mówił Chicot do siebie — pomału rzeczy się rozjaśniają, ale jeszcze nie jest dość pijany...

I znów napełnił szklanicę.

— Tak — rzekł — śmierć bezbożnikowi!... wiwat msza!...

— Wiwat msza!... — odrzekł Gorenflot, wychylając szklanicę.

— A więc — mówił Chicot, widząc pieniądz na dłoni swego współbiesiadnika i przypominając sobie, że furtjan oglądał ręce przybywających do opactwa mnichów — więc wchodząc, pokazujecie furtjanowi pieniądz?...

— Pokazuję i wchodzę — rzekł Gorenflot.

— Bez trudności?..

— Jak szklanka wina do mego brzucha.

I zakonnik połknął nową dozę szlachetnego napoju.

— Kiedy tak, to powinieneś wejść bez trudności.

— Dla brata Gorenflot obiedwie połowy drzwi stoją otworem.

— Będziesz miał mowę?

— Będę miał. Oto uważaj, przybywam...

— Uważam, bardzo uważam...

— Przybywam, zgromadzenie jest liczne i wyborowe: będą hrabiowie, książęta...

— Nawet książęta?...

— Powtarzam ci, nawet książęta... Wchodzę z pokorą między zgromadzenie wiernych...

— Zgromadzenie wiernych — powtórzył Chicot, — cóżto tam za zgromadzenie?...

— Wchodzę pomiędzy wiernych — powtarzał zupełnie pijany Gorenflot — przywołują mię, zaczynam..

To mówiąc, podniósł się.

— A więc zaczynaj.

— Zaczynam — powtórzył Gorenflot, z trudnością władając językiem, lecz zaledwie postąpił krok, uderzył o róg stołu i upadł na posadzkę.

— Brawo!... — rzekł Chicot, podnosząc go i sa-

dzając na krześle — postępujesz, witasz słuchaczy i mówisz...

— Nie, ja nic nie mówię, moi przyjaciele będą mówili.

— Co będą mówili przyjaciele?...

— Przyjaciele powiedzą: Wyborna twoja mowa, bracie Gorenflot, braciszku Gorenflot.

I z pieśczołą kilkakroć powtórzył swoje nazwisko.

— Śliczne masz nazwisko — rzekł Chicot—ciekawym co też powie — dodał pocichu.

— Zaczynam...

Podniósł się, zamknął oczy i oparł o mur, bo nie mógł ustać na nogach.

— No, jak zaczynasz?...

— Zaczynam: Bracia, najpiękniejszy to dzień dla naszej wiary...

Po owym najwyższym przymiotniku, Chicot widząc, że nic nie wydobędzie z mnicha, pozwolił mu gadać, co mu się podoba.

Gorenflot pozostawiony sam sobie, zrobił wyrazisty gest, odstąpił od muru i padł, jak długi.

— Amen — rzekł Chicot.

Jednocześnie dało się słyszeć mocne chrapanie.

— Dobrze — rzekł Chicot — otóż karp i wino skutkują. Zapewne będzie spał ze dwanaście godzin, więc można go rozebrać...

Wiedząc, że niema czasu do stracenia, Chicot rozwiązał mu ogórki, zdjął habit, położył go na rogoźce, głowę obwiązał serwetą i z habitem udał się do kuchni.

— Panie Bonhommet — rzekł — oto należność

za naszą wieczerzę, proszę tylko, aby nie budzić braciszka Gorenflota, bo śpi smacznie.

— Bądź pan spokojny — odrzekł oberżysta uradowany zarobkiem.

Po tem zapewnieniu Chicot wyszedł i lekki jak łania, przewidujący jak lis, udał się na róg ulicy Ś-go Stefana, gdzie wzięwszy monetę w rękę, z biciem serca stanął przy furcie opactwa Świętej Genowefy.

## ROZDZIAŁ VI.

### CHICOT PRZEKONAŁ SIĘ, ŻE ŁATWIEJ WEJŚĆ DO OPACTWA, NIŻ WYJŚĆ Z NIEGO

Chicot przywdziewając habit mnicha, miał tę przezorność, że dla powiększenia objętości ciała, wdział pod suknię zakonną płaszcz i całe swoje odzienie.

Zmieniwszy kolor brody, chociaż urodzony nad Garonną, a Gorenflot nad Saoną, do złudzenia stał się doń podobnym; głos nadewszystko tak potrafił nagiąć, że nikt go poznać nie mógł.

Właśnie miano drzwi zamykać, gdy przybył Chicot.

Gaskończyk pokazawszy monetę, przepuszczony został bez oporu.

Idąc za dwoma wyprzedzającymi go mnichami, udał się do klasztornej kaplicy, dokąd często towarzyszył królowi.

Król w szczególnej miał łasce opactwo Ś-tej Genowefy.

Kaplica była stylu rzymskiego, to jest pochodziła z jedenastego, albo dwunastego wieku i jak wszy-

stkie ówczesne, miała kryptę, czyli kaplicę podziemną.

Trzy tylko lampy oświetlały świątynię, jedna była zawieszona w pośrodku chóru, dwie inne, w równej odległości pośród nawy.

Słabe to światło, nadawało jakąś majestatyczność gmachowi.

Chicot musiał naprzód przyzwyczaić oczy do ciemności, następnie, przeliczył mnichów.

Było ich stu dwudziestu w nawie, dwunastu w chórze, razem stu trzydziestu dwóch.

Chicot widział z radością, że nie on ostatni połączył się z braćmi „Ligi”.

Po nim weszło jeszcze trzech mnichów w szarych sukniach.

Mały mniszek, zapewne jak sierota wychowany przez zakon, obszedł kaplicę, aby się przekonać, czy każdy jest na swoim stanowisku.

Po skończonym przeglądzie, porozmawiał z trzema przybyłymi na ostatku.

— Jest nas stu trzydziestu sześciu — rzekł jeden mnich głosem mocnym — to liczba parzystą.

Natychmiast podniosło się stu dwudziestu mnichów, klęczących w nawie, i zajęli miejsca w stalach.

Zaraz potem dało się słyszeć skrzypienie wrzęciędzy; drzwi zamknięto.

Chicotowi serce mocno bić poczęło i aby nieco przyjść do siebie, usiadł w cieniu pod amboną, skąd dokładnie mógł widzieć owych trzech mnichów, na ostatku przybyłych.

Podano im krzesła, jakby trzem sędziom.

Gdy szmer ucichł, mały dzwonek odezwał się po trzykroć.

Był to zapewne znak milczenia, bo zaraz odezwało się przeciągłe „psst“?

— Bracie Monsoreau — odezwał się mnich, który mówił poprzednio — jakie wiadomości przynosisz od księcia Andegaweńskiego?

Dwie rzeczy uderzyły słuch Chicota.

Naprzód głos donośny, właściwszy na polu bitwy, aniżeli w kościele, następnie, nazwisko Monsoreau, zaledwie od kilku dni znane na dworze.

Wysoki mnich, w sukni z szerokimi fałdami, przeszedł między zgromadzonymi i śmiałym krokiem wszedł na mównicę.

Chicot chciał ujrzeć twarz jego, lecz nie mógł..

— Dobrze — rzekł do siebie — skoro nie możemy dojrzeć cudzych twarzy, to i naszej nie pokazujmy.

— Bracia! — zawołał, a Chicot po głosie poznał wielkiego łowczego — wiadomości z Anjou nie są zadawalniające; nie dlatego, abyśmy nie znaleźli tam odczucia, ale brakuje nam reprezentantów.

Rozszerzenie stowarzyszenia w tej prowincji było powierzone baronowi de Meridor; ale ten starzec, rozpaczający po świeżej stracie jedynej córki, zaniedbał sprawę świętej Ligi i nie możemy liczyć na niego zupełnie.

Co do mnie przywiódłem na zgromadzenie trzech nowych członków, za których jak za siebie ręczyć mogę, a o których ogół wyrzeknie, czy mają być przyjęci.

Szmer przebiegł po zgromadzonych a pan de Monsoreau zajął znów miejsce.

— Bracie la Hurière — odezwał się znowu mnich, który poprzednio zadał pytanie — powiedz nam co zrobiłeś w Paryżu?

Mężczyzna z zapuszczonym kapturem, ukazał się na mównicy.

— Bracia — mówił — wiecie jak jestem przywiązany do świętej wiary, dałem tego dowód w dniach jej triumfu.

Tak, bracia, mogę się poszczycić, że byłem wówczas jednym z wiernych wielkiego Henryka de Guise i z ust samego pana de Besme otrzymałem rozkaz nie przebaczenia nikomu.

Prócz tego, moje poświęcenie dla świętej Ligi jest bez granic i mogę wymienić Hugonotów z ulic Saint-Germain, l'Auxerrois, Arbre-Sec i pałacu Belle-Etoile, których poświęciłem.

Zaprawdę, nie pragnę ja boju, jak dawniej, lecz sprawa świętej Ligi jest zawsze celem mojego życia.

— Słuchajmy — rzekł do siebie Chicot — La Hurière był jak sobie przypominam straszliwym dla hugonotów; z tego wnosić można, co myśli liga zaszczycająca go zaufaniem.

— Mów! mów! — zawołało wiele głosów.

La Hurière mając sposobność popisania się wymową, co mu się rzadko zdarzało, namyślał się przez chwilę, chrząknął i zaczął:

— Jeżeli się nie mylę, bracia moi, celem naszym jest, nie tylko stłumienie rozdzwojenia; potrzeba nadto aby Francuzi nie mieli panujących, wyznających inną religję.

Bracia moi, co nas czeka? Franciszek II-gi, tak gorliwy Monarcha, umarł bezdzietny; Karol IX-ty równie dbający o wiarę nie zostawił potomstwa; Henryk III-ci, którego sumienia nie chcę roztrząsać, zapewne dzieci nie pozostawi; zatem korona przypadnie księciu Andegaweńskiemu, który nam nie tylko nie zapewnia przewagi, ale co więcej, grozi obojętnością dla kościoła.

Tu wiele osób przerwało mówcy, a między innymi wielki łowczy.

— Dlaczego obojętnością, skąd pochodzi to oskarżenie?

— Mówię obojętnością, bo nie zezwolił na ligę, chociaż brat jego uroczyście to przyrzekł.

— Jakto nie zezwolił? — odparł głos — nie ma nikt prawa mieć księcia w podejrzeniu.

Prawda — rzekł la Hurière — poczekajmy jeszcze; ale po księciu Andegaweńskim, gdy umrze, kto otrzyma koronę? nieprzyjaciel nasz, Hugonot, nowy Nabuchodonozor.

Tu oklaski przerwały mówcy.

— Henryk de Bearn — rzekł dalej mówca — przeciw któremu zgromadziliśmy się, a który bawi się miłośkami i często do Paryża zagłada.

— Do Paryża? — zawołało wiele głosów — do Paryża! to niepodobna!

— Przybył tutaj — rzekł la Hurière — był tu w czasie zgonu pani de Sauve i może tu się znajduje.

— Biada Bearneńczykowi — krzyknęli zgromadzeni.

— Tak, bezwątpienia, biada mu! — mówił la Hurière; jeżeli zamieszka w Belle-Etoile ja biorę go na siebie.

Dwa razy w jednej jamie lisa nie znajdzie; on ma przyjaciół i stanie u któregokolwiek.

Otóż liczbę tych przyjaciół zmniejszyć należy.

Nasz święty związek, nasza liga jest pobłogosławiona i uświęcona przez Grzegorza XIII-go!

Żądam tutaj, aby nie robiono z tego więcej tajemnicy, aby oddano listy kwartalnikom i dziesiętnikom dla rozniesienia ich po domach; którzy podpiszą, uważać ich będziemy za przyjaciół: którzy odmówią podpisów, tem samem okażą się nieprzy-



jacielami i skoro nawinie się druga sposobność, będziemy umieli skorzystać z tego, aby złych od dobrych odłączyć.

Na tę przemowę wybuchnął grzmot oklasków, a gdy powoli cichość nastąpiła, poważny mnich, który już zadawał pytania, dał się znowu słyszeć.

— Gorliwość brata La Hurière — rzekł — będzie ceniona przez świętą Ligę jak należy.

Nowe oklaski.

La Hurière skłonił się dziękując zgromadzeniu i zszedł z mównicy.

— Ha! ha!... — mówił do siebie Chicot — teraz wszystko widzę jak na dłoni. Mało mają ufności w moim synku Henryku III-im, tem pewniej, że i pan de Mayenne tu się wcisnął.

Panowie de Guise chcą uformować państwo, nad którym panowania pragną; Henryk, wielki jako żołnierz, weźmie na siebie wojsko; gruby Mayenne opanuje mieszczan, a kardynał kościół; tak więc nie długo czekając, mój synek spostrzeże, że ma tylko szkaplerz, a z nim mogą go wpakować do jakiego klasztoru.

Ale cóż u licha zrobią z księciem Andegawęńskim?

— Bracie Gorenflot — zawołał mnich, który poprzednio przywoływał wielkiego łowczego i pana La Hurière.

Czy zajęty myślami, czy nieprzyzwyczajony do nazwiska i sukni kwestarza, Chicot nic nie odpowiedział.

— Bracie Gorenflot — powtórzył mały mniszek głosem tak piskliwym, że Chicot aż zadrżał.

— To jakiś cieniutki głosik — mruknął — miałyby tutaj i dzieci się znajdować?

— Bracie Gorenflot — zawołał znowu głosik piskliwy — czy cię tu niema?

— Przecież brat Gorenflot, to ja — rzekł do siebie Chicot — odezwijmy się. Jestem, jestem, mówił, naśladowując głos Gorenflota. Zadumałem się nad mową brata La Hurière i nie słyszałem, że mię wołano.

Szmer przychylny panujący po mowie La Hurière dał Chicotowi czas do przygotowania się.

Chicot mógł się nie odzywać na wezwanie, bo nikt nie odkrywał kaptura.

Ale ponieważ, jak sobie przypominamy, obecni zliczyli się i znali się nawzajem, położenie Chicota mogło stać się niebezpiecznym.

Nie wahał się tedy dłużej.

Powstał, wszedł na mównicę i jak można najgłębiej zapuścił kaptur.

— Bracia — rzekł naśladowując do złudzenia głos mnicha — jestem kwestarzem tego zakonu i jak wiecie, mogę się dostać do każdego mieszkania. Dobrodziejstwa tego używam na korzyść niebios. Bracia moi, prawil dalej, przypominając sobie wstęp mowy Gorenflota, którą mu nagle sen przerwał, bracia moi; dzień ten jest najpiękniejszym dla wiary. Mówmy bracia otwarcie, albowiem jesteśmy w domu bożym.

I cóż jest królestwo Francuskie? Ciało, jak święty Augustyn powiedział: „*Omnia civitas corpus est*”.

Jaki jest warunek bytu ciała? Zdrowie. Jak się utrzymuje zdrowie ciała? Umiarkowaniem.

Widoczna, że nieprzyjaciele nasi są za silni, skoro ich się lękamy, trzeba ich przeto osłabić, jak powtarzają wierni, od których znoszą jaja, mąkę, gęsi, szynki i pieniądze.

Poczekawszy, aż przebrzmia zadowolenia, mówił dalej:

— Zarzuci mi kto zapewne, że kościół nasz powinien być spokojnym, ale zważcie dobrze panowie, teologja mówi o pokoju, ale o jakim pokoju?... pokój sam do nas nie przyjdzie, ale postarać się o niego trzeba.

Prócz tego bracia moi, mówiłem o kościele; a my nie samym jesteśmy kościołem.

Brat Monsoreau, który przed chwilą z takim mówił zapałem, zapewne ma sztylet u boku.

Brat La Hurière doskonale rożen obraca: „Veru agreste, lethiferum tamen instrumentum”. Ja sam, moi bracia, ja Jakób Nepomucen Gorenflot nosiłem muszkiet w Hiszpanji i żywcem Hugonotów paliłem.

Była to dla mnie zasługa dostateczna i raju za nią się spodziewałem, gdy przyszło mi na myśl, aby dla czystości wiary, życie odmienić.

Druga część mowy większe jeszcze miała powodzenie i każdy podziwiał zasługi Gorenflota.

Po wielu oklaskach, Chicot pokłoniwszy się, znowu zaczął:

— Pozostaje nam mówić tylko o naczelnikach, bo jakkolwiek pięknie jest pod zasłoną habitu wejść tutaj, to przecież jeszcze nie wszystko. Hugonoci śmiać się mogą z habitów i z was zarazem panowie, a dla nas nie tego wcale potrzeba.

Wszak żądamy panowie, upokorzenia nieprzyjaciół i to jak sądzę, można z dachów ogłosić.

Nie chodźmy po ulicach Paryża, jak procesja króla, która pokazuje wymuskane twarze i piękne stroje.

I któż z was da przykład, panowie? Oto, ja, ja Jakób Nepomucen Gorenflot, brat zakonu świętej Genowefy, biedny kwestarz, oto ja, pójdę, gdzie tylko będzie potrzeba, a pójdę nie lękając się śmierci.

Przemowa Chicota, odpowiadająca uczuciom

wielu członków Ligi, którzy pragnęli temi samemi pójść drogami, co przed sześciu laty, w dzień świętego Bartłomieja, ożywiła serca tak dalece, że oprócz trzech opuszczonych kapturów, całe zgromadzenie krzycheć poczęło:

Wiwat Gorenflot!...

Zapał był tem większy, że zacny brat w nowem ukazał się świetle.

Aż do tej chwili uważany był za rozsądnego i umiarkowanie gorliwego, teraz brat Gorenflot wyskoczył nagle w szranki bojowe, przez co wzniosł się w pojęciach wielu do poziomu Piotra pustelnika, który ogłaszał pierwszą krucjatę.

Nieszczęściem, albo szczęściem dla tego, kto taki wzbudził zapał, jeden z trzech milczących mnichów schylił się ku małemu mniszkowi, który za chwilę piskliwym głosem, po trzykroć powtórzył:

— Bracial... posiedzenie skończone.

Mnichy podnosząc się, przyrzekli sobie nawzajem, usłuchać głosu męznego Gorenflota i powoli ku drzwiom zdążali.

Wielu zatrzymywało się przed mówcą, aby bratu kwestarzowi powinszować skutku piorunującej wymowy, lecz Chicot zważając, że mógłby być poznany, tak po głosie, jak po wzroście, ukląkł i jak Samuel zdawał się pogrążony w zachwycie.

Szanowano jego pobożność i każdy przechodząc spoglądał nań z uwielbieniem.

Mimo wszystkiego, Chicot chybił celu.

Opuścił bez pożegnania króla Henryka III-go, ujrzawszy księcia de Mayenne, i dla Mikołaja Dawid powrócił do Paryża.

Jakeśmy widzieli, zaprzysięgał podwójną zemstę, lecz żeby uderzyć na księcia z domu Lotaryng-

skiego, nieprzyjaznego królowi, za mało znaczył i musiał czekać cierpliwie, na chwilę zemsty.

Zupełnie co innego było z Mikołajem Dawid, który był tylko adwokatem normandzkim; prawda, przebiegłym, który pierwaj był żołnierzem niż prawnikiem, pierwaj fechtmistrem niż wojakiem.

Chicot chociaż nie był fechtmistrem, robił dobrze bronią i pod jej opieką chciał oddać zemstę swoją.

Dlatego bacznie zaglądał pod kaptury, spodziewając się poznać pod którym Mikołaja.

Tak zajęty, widział, że wychodzący znowu musieli okazywać furtjanowi znaki, że zaś nie miał podobnego, zimny pot wystąpił mu na czoło.

Brat Gorenflot pokazał mu znak, za pomocą którego wejść było można, lecz zapomniał o tym, który wyjść dozwalał.

## ROZDZIAŁ VII.

### CHICOT ZMUSZONY ZOSTAĆ W KOŚCIELE OPACTWA, SŁYSZY WIELE NIEBEZPIECZNYCH RZECZY

Chicot zszedłszy z mównicy, wmieszał się pomiędzy mnichów, aby ujrzeć znak, zapomocą którego wydostać się było można na ulicę.

Wychyliwszy głowę, przekonał się, że znakiem tym jest moneta, z wyobrażeniem gwiazdy.

Nasz Gaskończyk miał w kieszeni kilka sztuk monety, ale żadna nie miała piętna takiego znaku. Pojął natychmiast swoje położenie.

Skoro przyjdzie do drzwi i nie okaże gwiazdzistej monety, poznają go, a chociaż w Luwrze, jako

trefniś króla, miał swoje znaczenie, tutaj może być zgubionym. Cofnął się więc, i wcisnął w konfesjonał, pod filarem.

— Przytem — mówił do siebie Chicot — gdyby mię poznano, zgubię nie tylko siebie, ale i mojego nierozważnego pana, którego kocham. Zapewne, lepiejby było powrócić pod „Róg obfitości”, ale to niepodobieństwo.

Tak rozumując, coraz bardziej wciskał się w konfesjonał.

— Czy już niema nikogo? — zawołał mały mnich — bo drzwi się zaraz zamyka.

Żaden głos nie odezwał się. Chicot wyciągnął szyję i ujrzał kaplicę pustą; trzech tylko zakapturzonych mnichów stało na środku nawy.

— Dobrze — pomyślał — niech tylko okien nie zamkną, dam sobie radę.

— Obejrzyjmy kościół — rzekł mały mnich kobiecym głosem, do brata furtjana.

— A!... przeklęty — mówił Chicot do siebie — może mi być ciepło.

Furtjan zapalił świecę, i począł z małym mnichem obchodzić kościół.

Nie było chwili do stracenia.

Furtjan, ze świecą, szedł w kierunku Chicota i mógł go łatwo odkryć.

Schylił się więc, aby nie dojrzano jego głowy.

Furtjan i mały mnich przeszli mimo.

— Cóż u licha! — myślał, — czy tych trzech mnichów i ten mały zamierzają nocować w kościele!... Niech tylko wyjdą, a postawię krzesła na ławkach, jak Pelion na Ossie i wyjdę oknem.

— Tak, oknem — powtórzył Chicot — ale z okna wyjdę na dziedziniec, a to przecież nie ulica.

Lepiej może noc przepędzić w konfesjonale. Habit Gorenflota jest ciepły i nie będzie źle spać.

— Zgasić lampy — odezwał się mały mnich. — Niech wiedzą wszyscy, że rada skończona.

Furtjan zapomocą długiego kapturka pogasił lampy w nawie, którą zupełna ogarnęła ciemność.

Następnie zgasił światła w chórze.

Tak więc, kościół został oświetlony jedynie bladym promieniem zimowego księżyca, który przez kolorowe szyby zaledwie się przedzierał.

Po zgaszeniu światła ucichł i szmer.

Dzwon uderzył północ.

— A to przyjemnie — rozmyślał Chicot — o północy być w kościele; na mojem miejscu, Henryk chybaby umarł ze strachu. Szczęściem, że nie jestem tak trwożliwej natury. Dobranoc ci, przyjacielu Chicocie!

Poprawiwszy się w konfesjonale, a następnie rozparłszy, jak w domu, zmrużył powieki.

Upłynęło dziesięć minut i umysł wpół uspioony wznosił się na chmurach myśli, gdy nagle odgłos miedzi rozległ się w kościele i drżący zgiął w mroku.

Chicot, roztworzył oczy i nastawił uszy — a tam co takiego?

W tym samym czasie, lampa na chórze niebieskawem zajaśniała światłem, a blask padł na trzech mnichów, jeszcze na środku nieporuszenie siedzących.

Chicot niezupełnie wolny był od zabobonnej trwogi; chociaż odważny, należał do epoki podań i przerażających legend.

Cicho położył na piersiach znak krzyża i szeptał:

„Vade retro, Satanas!”

Lecz skoro światła na znak odkupienia nie ga-

sły i trzech mnichów pozostało na miejscu, Gaskończyk zaczął wierzyć, że światła są naturalne, a mnichy mają duszę i ciało.

Mimo tego, doznał drżenia, jak człowiek, który przebudzi się z trwogą.

W tej chwili tafla posadzki w chórze podniosła się do góry, i szary kaptur ukazał się nad otworem, następnie cały mnich stanął na marmurowej posadzce i tafla zawarła się powoli.

Widząc to, Chicot, zapomniał o strachach, i począł domyślać się czego innego; włosy stanęły mu na głowie, wyobrażał sobie, że przeorzy i opaci, począwszy od Opata, zmarłego roku 533, aż do Bouchina, powstałi z grobów i szli pokolei, podnosić tafle posadzki.

Niedługo wyprowadzono go z błędu.

— Bracie Monsoreau — rzekł jeden z mnichów, siedzących na środku, do tego, który się tak dziwnym pojawił sposobem, czy ten, na którego czekamy, przybył?...

— Tak jest — odrzekł pytany — czeka.

— Otwórzcie mu drzwi i niech wejdzie.

— Zapewne to jest komedja we dwóch aktach, a ja dopiero pierwszy widziałem — mówił Chicot do siebie.

Ale, żartując sam z sobą, drżał, jakby w konfesyjale pełno było kalców na siedzeniu.

Tymczasem brat Monsoreau zeszedł ze schodów, prowadzących z nawy do chóru, i otworzył spiżowe drzwi, wiodące do podziemnej świątyni.

Jednocześnie, jeden z trzech mnichów spuścił kaptur i ukazał wielką bliznę, po której paryżanie poznawali swego katolickiego bohatera, czekając jego męczeństwa.



— A!... to wielki Henryk de Guise — rzekł Chicot do siebie — ten po prawej, to kardynał Lotaryński, ten zaś na lewo, to księżę de Mayenne, mój przyjaciel; ale gdzież Mikołaj Dawid?...

Jakby na usprawiedliwienie przypuszczeń Chicota, mnichy po lewej i po prawej stronie, spuścili kaptury.

— Ach!... znam was — rzekł Chicot. — Teraz ciekawym, co wy tu robić i mówić będziecie.

W tej chwili, pan de Monsoreau podszedł do spiżowych drzwi, które się przed nim otwarły.

— Czy myślałeś, że przyjdzie?... — zapytał mnich jeden drugiego.

— Nietylko myślałem, ale byłem pewny, i dlatego mam pod habitem ampułkę.

Chicot, będąc dość blisko, mógł wszystko widzieć i słyszeć, ujrzał też błyszczącą puszkę.

— Aha!... — rzekł — będą kogoś namaszczać. — Bardzo jestem ciekaw tej ceremonji.

Tymczasem ze dwudziestu mnichów, wszyscy zakapturzeni, weszli drzwiami podziemnej świątyni i stanęli w nawie kościoła.

Jeden, wiedziony przez pana de Monsoreau, usiadł w chórze.

Mały mnich, który ukazał się na nowo, przyszedł po rozkazy do mnicha po prawej stronie.

Księżę Guise spojrział po zgromadzeniu, o pięć szóstych mniej licznem, jak pierwsze, a które podług wszelkiego prawdopodobieństwa było wyborowe i przekonał się, że nietylko wszyscy oczekiwali, ale nadto oczekiwali niecierpliwie.

— Przyjaciele!... — odezwał się — czas drogi, przystępuję więc wprost do celu. Słyszeliście, bo myślę, że do pierwszego zgromadzenia byliście przypuszczeni, słyszeliście, przed chwilą, jak wniesiono

oskarżenie o obojętność, przeciwko jednemu z książąt najbliższych tronu... Nadeszła chwila, aby owe-  
mu księciu oddać sprawiedliwość. Usłyszycie teraz  
i osądzicie, czy on zasługuje na te zarzuty i czy od-  
powie oczekiwaniu brata Gorenflot.

Na to nazwisko, wymówione przez księcia de  
Guise, tonem objawiającym złe zamiary dla wojow-  
niczego zakonnika, Chicot nie mógł się wstrzymać  
od radości, którą ukryć się starał.

— Bracia! — mówił dalej de Guise — księżę, od  
którego niczego nie mogliśmy się spodziewać, któ-  
rego zezwolenia na Ligę trudno było wyjednać — ten  
sam księżę jest tutaj.

Wszystkich spojrzenia zwróciły się na mnicha,  
stojącego po prawej stronie książąt lotaryńskich.

— Mości księżę — rzekł de Guise, zwracając  
mowę do osoby, która była przedmiotem powszech-  
nej uwagi, zdaje się, że wola Boga jest widoczną,  
skoro się z nami złączyłeś. Teraz księżę, racz pod-  
nieść kaptur, aby wierni przekonali się o tem, co po-  
wiedziałem i czemu zapewne wierzyć nie śmieją.

Tajemnicza osoba podniosła rękę do kaptura  
i zrzuciła go.

Chicot sądził, że ujrzy jakiego lotaryńskiego  
księcia, lecz z wielkiem swoim zadziwieniem, zoba-  
czył twarz księcia Andegaweńskiego tak bladą, że  
wydała mu się twarzą posągu marmurowego.

— Ha! ha!... — rzekł Chicot — nasz braciszek  
nie próżnuje i dobrych mu się zachciewa rzeczy.

— Niech żyje księżę Andegaweński!... — zawo-  
łali obecni.

Franciszek zbladł jeszcze bardziej.

— Nie lękaj się, Mości księżę, — rzekł de Gui-  
se — kaplica jest ustronna, a drzwi dobrze zamknięte.

— Ostrożność jest zawsze wskazana — mówił do siebie Chicot.

— Bracia — rzekł hrabia de Monsoreau, — Jego książęca mość pragnie przemówić do zgromadzenia.

— Słuchamy — odezwały się wszystkie głosy. Trzej książęta lotaryńscy zwrócili się ku księciu Andegaweńskiemu i skłonili przed nim.

Książę Andegaweński oparłszy się o stolik, rzekł:

— Panowie, sądzę, że Bóg, który, zdaje się, nie raz nieczułym i głuchym na sprawę świata, patrzy na nas i gotuje lekarstwo na złe, jakie duma ludzka wyrządza.

Początek mowy księcia był tajemniczy i dlatego każdy czekał z naganą lub oklaskiem, aż Jego książęca mość jaśniej myśli swoje objawi.

Książę mówił dalej pewniejszym głosem:

— I ja rzuciłem oczami na świat, a nie mogąc go objąć słabem wejrzeniem, zwróciłem je na Francję. I cóż w tem królestwie ujrzałem? Religję Chrystusa zachwianą w swych posadach, prawdziwe sługi boże, wygnane i rozproszone. Zmierzyłem głębię przepaści i moja dusza, jak dusza proroka, ciężką uczuła boleść.

Szmer zadowolenia przebiegł zgromadzenie. Książę objawił sympatję dla cierpień kościoła, a to było niejako wypowiedzeniem wojny tym, którzy go udęrczali.

— Wśród tego głębokiego smutku — mówił dalej książę — doszedł do mnie głos wielu szlachty, bogobojnych synów wiernych ojców, którzy pragnęli podeprzeć zachwiany ołtarz. Spojrzałem wokoło siebie i zdawało mi się, że Bóg lud swój rozdzielił na dwie części. Z jednej strony byli źli i cofnąłem się od

nich z oburzeniem, z drugiej, byli wybrani i padłem w ich objęcia. Bracia moi, oto jestem pomiędzy wami.

— Amen!... — rzekł cicho Chicot.

Zbyteczna ostrożność, Chicot mógł się odezwać głośno, a jego głos nie byłby słyszany w chaosie oklasków i braw, które napełniły kaplicę.

Trzej lotaryńscy książęta, znakiem uspokoili zgromadzenie, a następnie, kardynał powstał i odezwał się:

— Więc dobrowolnie księżę do nas przybyłeś?

— Dobrowolnie.

— A kto Waszej księżęcej mości doniósł o tem?

— Mój przyjaciel, człowiek gorliwy o religię, hrabia de Monsoreau.

— Teraz — rzekł z kolei księżę do Guise, — gdy Wasza księżęca mość jesteś z nami, racz powiedzieć, co myślisz uczynić dla dobra Ligi?

— Pragnę służyć rzymsko - katolickiej, apostołskiej religji — odrzekł nowonawrócony.

— Cóż u licha!... — myślał Chicot — na co się tu kryć z podobnemi rzeczami. Dlaczego nawet królowi poprostu o tem nie powiedzieć? Jemu samemu by się to podobało. Procesja, pokuty, inkwizycja, pale, zgoła, jak w Hiszpanji. Ale to wszystko nic nie pomoże. Wielką mam ochotę wyjść z konfesjonału i pokazać się księciu Andegaweńskiemu. Mów dalej kochany bracie, mów.

Księżę Andegaweński, jakby posłuszny wezwaniu, zaczął:

— Ale interes religji, nie jest jedynym celem; ja przynajmniej inny jeszcze w tem widzę.

— Mów, braciszku i mnie to bardzo obchodzi — rzekł cicho Chicot.

— Jaśnie oświecony księżę, słuchamy cię z naj-

większem zajęciem — odezwał się kardynał de Guise.

— A serca nasze oddychają nadzieją, zakończył pan de Mayenne.

— Wytłumaczę się jaśniej — odrzekł książę, mierząc niespokojnem wejrzeniem ciemności kaplicy, jakby chciał się przekonać, czy jego słowa nie wpadną w niegodne uszy.

Pan de Monsoreau pojął niepokój księcia i upewnił go uśmiechem i znaczącem spojrzeniem.

— Kiedy szlachcic pomyśli co winien Bogu — mówił dalej książę Andegaweński, zniżając głos, — myśli zarazem...

— O swoim królu — poddał Chicot.

— O swoim kraju, — kończył książę Andegaweński — i pyta, czy jego ojczyzna używa pomyślności, której spodziewać się ma prawo, bo szlachcic odbiera dobrodziejstwa naprzód od Boga, a następnie od kraju, którego jest synem.

Zgromadzenie przyklasnęło.

— A o królu, niema nawet i wzmianki — pomyślał Chicot. — Ja zaś wierzyłem w to, co napisano na piramidzie Juvisy: „Bóg, honor i kobiety“.

— Pytam więc — kończył książę Andegaweński, którego kościste policzki gorączkowym pokryły się rumieńcem, — pytam się, czy mój kraj używa pokoju i pomyślności, na jakie zasługuje? W rzeczy samej, bracia moi, państwo podzielone jest pomiędzy stronictwa, równie potężne. A to dzięki słabości władzy najwyższej, która, mając działać dla szczęścia poddanych, pamięta o swoich prawach, ale na to jedynie, aby źle czynić. — Czy znamy źródło złego, czy tylko domyślamy się jego istnienia, złe nie zmniejsza się dlatego i ja śmiem oskarżać więcej ulubieńców

króla, niż jego samego. Dlatego panowie, jako wierny sługa ołtarza i tronu, powinienem się połączyć z tymi, którzy pragną zniszczenia złego, a głównie zguby przeniwierczych doradców. Otóż, panowie, łącząc się z wami, to właśnie dla Ligi uczynić zamierzam.

— Aha!... — mruknął Chicot — widać już uszko, ale uszko lisie.

W pośrodku widać było bladą twarz księcia Andegaweńskiego, którego kościste czoło rzucało cień na zapadłe oczy, a usta zdawały się jamą czaszki trupiej.

— Mości książę — odezwał się książę de Guise — dziękując za wyrzeczone słowa, ręczę ci że jesteś otoczony ludźmi przychylnymi nie tylko zasadom, jakie wyznałeś, ale i osobie Waszej książęcej mości.

Książę Andegaweński skłonił się i powstając potoczył okiem po zgromadzeniu.

— Jeżeli się nie mylę — mruczał Chicot — to wszystko co widziałem i słyszałem, jest tylko wstępem do jakiejś ważnej czynności.

— Mości książę — rzekł kardynał, który widział spojrzenie Franciszka — jeżeli lękasz się czegokolwiek, imiona otaczających cię, są pewną rękojmią.

Oto pan rządca D'Annis, pan d'Entragues młodszy, pan Ribeirac i pan Livarot młodzieńcy szlachetni i waleczni. Oto jeszcze pan de Castillon, baron Lusignan, panowie Cruce i Leclerc, wszyscy przejęci uwielbieniem dla Waszej książęcej mości i pragnący walczyć pod tak wielkim wodzem.

Czekamy z pokorą rozkazów Waszej królewskiej mości.

Książę Andegaweński nie mógł ukryć wzruszenia

i dumy. Książęta de Guise, tak zuchwali, mówią mu o pokorze.

Książę de Mayenne, zaczął:

— Wasza książęca mość z urodzenia i wrodzonej mądrości, powinieneś być naczelnikiem Ligi i od ciebie czekamy objaśnienia, jak mamy postępować z przyjaciółmi króla.

— Nic prostszego — odpowiedział książę z rodzajem gorączkowego zapału, który u ludzi słabych zastępuje odwagę — nic prostszego powtarzam, jak nieużyteczne chwasty wyrwać z korzeniem ze zboża. Król otoczony jest nie przyjaciółmi, ale dworakami, którzy gubią jego, Francję i religję.

— Tak jest — rzekł książę de Guise stłumionym głosem.

— Prócz tego — odezwał się kardynał — dworacy nie pozwalają nam przystępu do króla i zaprzeczają praw wypływających z urodzenia i stopni.

— Zostawmy innym — przerwał książę do Mayenne — służbę bożą, bo służąc Bogu, będą służyli jego wyznawcom. O ważniejszą tu rzecz chodzi! Są ludzie nieznośni, którzy nam urągają i którzy lekceważą naszego ukochanego księcia.

Czoło księcia Andegaweńskiego powlekło się rumieńcem.

— Zniszczmy — mówił dalej Mayenne — tych ulubieńców, których król naszym kosztem bogaci i niech z nas każdy jednego weźmie na siebie. Jest nas tu trzydziestu, policzmy.

— Rozsądnie — odezwał się książę Andegaweński — a ty panie Mayenne dałeś dowody rozumu.

— Co było, to się nie liczy, — odparł.

— A zatem Mości książę, trzeba nam się podzielić — wzniósł głos d'Entraques — ja biorę na siebie Quelusa.

— Ja Maugirona — dodał Livarot.

— A ja Schomberga — zakończył Ribeirac.

— Wybornie, wybornie — powtarzał książę — a ja mam jeszcze Bussego, który kilku jeszcze weźmie na siebie.

— A my? a my?... — wołali inni.

Pan de Monsoreau wystąpił:

— Otóż i wielki łowczy po swoją część przychodzi — pomyślał Chicot — który widząc, że to nie żarty, nie śmiał się wcale.

Lecz się mylił.

— Panowie — rzekł łowczy wznosząc rękę — proszę o głos. Mamy ludzi stanowczych, lecz lękamy się szczerze mówić jedni do drugich. Kręcimy się w zakłętym kółku.

Dalej panowie, nieco odwagi, śmiałości i szczerości. Nie idzie tu o kochanków królewskich, tylko o łatwość zbliżenia się do jego osoby.

— Dalej! dalej!... — mówił Chicot do siebie, wytrzeszczając oczy z konfesjonału i natężając słuch. Dalej, dalej ,słuchamy.

— To co nas wszystkich zajmuje panowie — ciągnął hrabia — to jest trudność, na której stanęliśmy. To, co nam dają, trudno przyjąć, bo z tego śmieje się cała Europa; owe posty, pasje, uczyty, rozpusta, trudne są do pogodzenia z sobą.

Nastąpiło głębokie milczenie i każdy ze słuchaczy uczuł się wzruszonym, jakby sam był mówcą.

Pan de Monsoreau tak dalej prawił:

— Mamy żyć pod niedołężnym panem w chwilach, gdy Hiszpanja zapala stosy, kiedy Niemcy budzą swoich reformatorów, kiedy Anglja przecina idee i strąca głowy... My śpimy panowie, przebacź Mości książę, to wyrażenie, ale nasz monarcha nie jest panującym, lecz mnichem.



Po tych wyrazach nastąpił wybuch tak gwałtowny, że trudno było poznać, czy to te same osoby, co przed godziną.

— Precz z Walezjuszem!... — zawołano — precz z Henrykiem, miejmy króla wojownika, samowładnego, byle nie mnicha.

— Panowie — odezwał się obłudnie książę Andegaweński, — przebaczcie mojemu bratu. Miejmy nadzieję, że nasze rady i nasza przychylność na dobrą naprowadzą go drogę.

— Kłam wężu, kłam — rzekł Chicot.

— Mości książę — rzekł pan de Guise — może zawczasie, ale słyszałeś szczerą myśl zgromadzenia. Nie idzie tu o związek przeciwko bearneńczykowi, który jest postrachem tchórzów, ani o obronę kościoła, który się sam utrzyma, ale idzie o wyzwolenie szlachty francuskiej. Długośmy się wstrzymywali przez uszanowanie dla Waszej książęcej mości, długo wstrzymywała nas ta miłość, jaką mamy dla panującej rodziny; lecz gdy znasz nasze cele, uważaj to co słyszałeś, za wstęp.

— Co to ma znaczyć?... — zapytał książę drżący z niepokoju i dumy zarazem.

— Mości książę — rzekł książę de Guise — połączyliśmy się, jak to powiedział wielki łowczy, nie dla zbijania teorji, ale dla skutecznego działania. Dziś wybraliśmy naczelnika godnego nas, a że zwyczaj każe, obranego obdarować, i my przygotowaliśmy dla ciebie dary.

Wszystkich serca zadrzały, najmocniej przecież biło serce księcia.

Pozostał jednak milczący i nieruchomy, a bladeść tylko zdradzała wzruszenie.

— Panowie — mówił książę de Guise sięgając

poza siebie i podnosząc do góry coś ciężkiego, oto dar, który w imieniu waszem, składam u stóp księcia.

— Korona!... — zawołał książę zaledwie trzymając się na nogach — korona dla mnie, panowie?

— Niech żyje Franciszek III-ci!... — zagrział okrzyk, od którego aż zadrżało sklepienie.

— Mnie? mnie?... — wyjąkał książę drżąc z radości i trwogi. Ale to niepodobna! Mój brat żyje, mój brat jest boskim pomazańcem.

— Strącamy go — rzekł książę — aby zaś Bóg uświęcił nasz wybór, wszak są na to środki.

— Panowie — mówił książę — panowie!

— Mości książę — odezwał się zkolei kardynał, — oto odpowiedź na zarzut Waszej książęcej mości: Henryk III-ci był pomazańcem boskim, i ty nim będziesz na jego miejscu. Oto świątynia równie godna poszanowania jak katedra w Reims, bo tu spoczywają zwłoki świętej Genowefy, patronki Paryża: tutaj jest pogrzebione ciało Klodoweusza, pierwszego chrześcijańskiego monarchy; a więc Mości książę, w tej świątyni, wobec posągu założyciela monarchji francuskiej, ja, książę kościoła, ja mówię Waszej książęcej mości, że masz być namaszczonej, olejem przysłanym przez Grzegorza XIII-go. Mianuj przyszłego arcybiskupa i Konetabla, a w tej chwili będziesz namaszczonej na króla, brat zaś twój będzie uważany, jako przywłaszczyciel. Moje dziecko, zapal świece na ołtarzu.

Natychmiast mały mnich, który pewnie tylko tego oczekiwał rozkazu, wyszedł z zakrystji i w jednej chwili zajaśniało pięćdziesiąt świec.

Ujrzano wtedy na ołtarzu mitrę, jaśniejącą drogiemi kamieniami i miecz bogato ozdobny. Mitrą była infuła biskupia, miecz przeznaczony był zaś dla Konetabla.

Wśród ciszy ocknął się organ i zanucił „Veni Creator”.

Rodzaj niespodzianki przygotowanej przez książąt Lotaryńskich, której się książę Andegaweński nie spodziewał, głębokie na wszystkich sprawił wrażenie.

Mężnych unosił zapał, słabi czuli się odważnymi.

Książę Andegaweński wznosił głowę i krokiem pewnym postąpił do ołtarza, lewą ręką wziął mitrę, prawą ujął miecz i zwróciwszy się do kardynała, mitrę włożył na jego skronie a miecz przypasał księciu.

Jednogodne oklaski powitały ten czyn, tem mniej spodziewany, że znano wahający się charakter księcia.

— Panowie — przemówił książę do obecnych — skoro zostanę królem, wy wszyscy zostaniecie pasowani na rycerzy.

— Śliczna sposobność zdobycia niebieskiej wstęgi — pomyślał sobie Chicot. — Pewnie nie zdarzy się już podobna a i tej wyrzec się muszę.

— Najjaśniejszy panie, racz przystąpić do ołtarza odezwał się kardynał de Guise; — panowie de Monsoreau, Ribeirac, d'Entragues i Livarot zajmijcie miejsca, które wam nowy stopień nadaje.

Każdy z wymienionych pośpieszył na miejsce.

— Panowie — rzekł książę — wnieście swe prośby, a będę się starał, aby wszyscy byli zadowoleni.

Tymczasem, kardynał przebrawszy się, ukazał się przy ołtarzu w sukniach pontyfikalnych, z świętą ampułką.

Mały mnich podał Ewangelję i krzyż.

Kardynał wzięwszy obję, kazał księciu Andegaweńskiemu położyć ręce na księdze.

— Wobec Boga — mówił książę — przysięgam czcić świętą religję, jak na chrześcijańskiego monarchę przystoi.

Tak mi Boże dopomóż i święta Ewangeljo!

— Amen!... — odpowiedzieli obecni.

— Amen!... — powtórzyło echo z głębi kościoła.

Książę de Guise wykonywujący obowiązki Konektabla, wstąpił na trzy stopnie ołtarza i złożył na nim miecz do poświęcenia.

Kardynał wyjął go z pochwy i ujawszy za klingę podał królowi.

— Najjaśniejszy panie — rzekł — weź ten miecz z błogosławieństwem Pana, abys przy nim przez moc Ducha Świętego opierał się nieprzyjaciółom, bronil wiary i powierzonego twoim rządóm królestwa. Weź ten miecz, abys nim wymierzał sprawiedliwość, abys bronil wdów i sierot, i krzywdy wynagradzał. Weź go, abys okryty sławą, panował z tym, którego wyobrazasz na ziemi i który króluje od wieków z Ojcem, Synem i Duchem Świętym.

Książę zniżył tak miecz, że koniec dotknął posadzki i ofiarowawszy go Bogu, oddał księciu de Guise.

Mały mnich przyniósł poduszkę, na której książę Andegaweński przykląkł.

Kardynał dobył z ozdobnej puszki, końcem szpilki złotej troszkę oleju świętego i powlókł nim platynę.

Następnie wzięwszy olej święty na wielki palec, namaścił głowę króla, mówiąc:

„Ungo te in regem de oleo sanctificato in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti“.

Mały mnich obtarł olej chustką haftowaną, złotem.

Kardynał wzięwszy koronę w obie ręce, zniżył ją nad głowę księcia.

Książęta Mayenne i de Guise zbliżyli się, aby ją utrzymać nad głową.

Kardynał błogosławiąc, mówił:

„Bóg cię uwieńczy koroną chwały i sprawiedliwości“.

Następnie włożywszy księciu koronę na głowę:

— Przyjm tę koronę — rzekł — w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Książę Andegaweński czując koronę na głowie, dotknął jej ręką.

Mały mnich zadzwonił i wszyscy skłonili głowy; podnieśli je przecież zaraz i wznosząc miecze, zawołali:

— Niech żyje król Franciszek III-ci!...

— Najjaśniejszy Panie — mówił kardynał do księcia Andegaweńskiego — od dzisiaj zaczynasz panować, bo jesteś namaszczony w imieniu Papieża Grzegorza XIII-go.

— Panowie!... — odezwał się książę Andegaweński, powstając z dumą i powagą — nigdy nie zapomnę imion obywateli, którzy mię pierwsi uznali za godnego tronu. Teraz żegnam was, panowie, życząc wam boskiego błogosławieństwa.

Kardynał i książę de Guise skłonili się, lecz Chicot widział ze swojego ukrycia, że gdy Mayenne odprowadzał króla, książęta Lotaryńscy uśmiechali się ironicznie.

— Co to ma znaczyć?... — zapytał siebie Gaskończyk.

Książę Andegaweński, wszedłszy na schody podziemnej krypty, znikł w ciemnościach.

Za nim udali się obecni, oprócz trzech braci, którzy poszli do zakrystji.

Furtjan gasił świece na ołtarzu.

Mały mnich zamknął drzwi od podziemnej świątyni; kościół był oświetlony jedną tylko lampą.

## ROZDZIAŁ VIII.

JAK DAWID, WYKŁADAJĄC HISTORJĘ,  
WYŁOŻYŁ KURS GENEALOGJI

Chicot podniósł się, ażeby wyprostować nogi.

Ze wszystkiego wnosił, że to posiedzenie było ostatniem, że zaś druga wybiła, poczynić chciał przygotowania na resztę nocy.

Lecz kiedy w spiżowych drzwiach usłyszał dwukrotny obrót klucza, trzej Lotaryńscy książęta wyszli z zakrystji, ale tym razem w zwyczajnych sukniach.

Mały mniszek, zobaczywszy ich, parsknął tak szczerym i wesołym śmiechem, że Chicot, nie wiedząc nawet z czego, także roześmiać się musiał.

Książę de Mayenne zbliżył się do schodów.

— Nie śmieć się tak głośno, sestro — rzekł — zaledwie wyszli, mogą cię usłyszeć.

— Jego siostra!... — pomyślał Chicot, w nowe wpadając zdziwienie — to ten mniszek jest kobietą?...

W rzeczy samej, mały zakonnik odsłonił kaptur i ukazał piękną subtelną główkę kobiety, jakiej nie stworzył nawet Leonardo da Vinci.

Czarne oczy, iskrzące złośliwością, czasem rozszerzając się, przybierały surowy i straszny wyraz.

Mała, rumiana twarzączka, nosek kształtny, zaokrąglona bródka, kończąca doskonały owal twarzy, dwa czarne łuki nad oczyma, składały się na jej piękność.

Była to siostra panów de Guise, pani de Montpentsier, niebezpieczna syrena, pod suknią mnicha ukrywająca ułomność: jedną łopatkę wyższą i skrzywienie nogi prawej, na którą lekko utykała.

Może skutek tej ułomności, dusza szatana zamieszkała w tem ciele, któremu Bóg dał twarz anioła.

Chicot poznał ją, albowiem widywał ją u królowej Ludwika de Vandemont, jej krewnej, i sądził, że teraz dopiero odsłoniła mu się wielka tajemnica, tembardziej, że i trzej bracia pozostali.

— Ach!... bracie kardynale — mówiła księżna w spazmatycznym śmiechu, — jakiegoż świętego udajesz człowieka. Na chwilę zatrwożyłeś mię, bo myślałam, że wszystko robisz naprawdę; on także pozwolił się namaszczać i koronować. Jak też wyglądał w tej koronie...

— Mniejsza o to — rzekł książę — mamy czegośmy chcieli i Franciszek niema się o co teraz troszczyć. Monsoreau widać miał jakiś w tem interes, że tak daleko rzeczy posunął, a my możemy być pewni, że nie opuszczą nas w połowie drogi na rusztowanie, jak La Mola i Coconnasa.

— Ha!... ha!... — rzekł Mayenne — jest to droga, na którą nie łatwo posłać książąt naszej dynastji i zawsze będzie bliżej z Luwru do Opactwa Ś-tej Genowefy, niż z Ratusza na plac de Greve.

Chicot zrozumiał, że żartowano z księcia Andegaweńskiego, a że go niebardzo lubił, byłby za to uściskał braci de Guise, a chętniej może jeszcze panią de Montpensier.

— Powróćmy do rzeczy — mówił kardynał. Wszak wszystko dobrze zamknięte?...

— Ręczę za to — odpowiedziała księżna — zresztą mogę zobaczyć.

— Nie, nie — odrzekł książę — musisz być strudzona biedaczko.

— Bynajmniej; jakie to wszystko było zabawne!...

— Mayenne, mówisz, że tu jest?... — zapytał książę.

— Tak.

— Nie widziałem go.

— Musiał się ukryć.

— A gdzie?...

— W konfesjonale.

Słowa te obłyły się o uszy Chicota, jak głos stu tysięcy trąb w Apokalipsie.

— Któż tam ukryty w konfesjonale?... — zapytał, poruszając się — ja tu nie widzę nikogo.

— Zatem wszystko widział i słyszał?... — zapytał książę.

— Przyrowadź go, Mayenne.

Mayenne skierował się wprost do konfesjonału, zajętego przez Chicota.

Gaskończyk, jakkolwiek odważny, zadrzał z przestradchu i zimny pot polał mu się z czoła.

— A!... — rzekł do siebie, usiłując pod fałdami habitu odpassen szpadę — nie chcę umrzeć niegodnie, dalej naprzód!... Ponieważ sposobność się nadaża, zabijmy, zanim sami zginiemy.

I chcąc dokonać zamiaru, dobył szpady, gdy odezwał się głos księżny:

— Nie w tym, nie w tym!... Mayenne; w tamtym na lewo!

— Aha!... — rzekł książę, który już ręką dotykał konfesjonału Chicota i teraz nagle zwrócił się w przeciwną stronę.

— A któż tam u djabła siedzi?... — rzekł z ciężkim westchnieniem Chicot.

— Wyjdź, panie Mikołaju Dawid — rzekł Mayenne — jesteście sami.

— Na wasze usługi — odpowiedział mężczyzna, wychodząc z konfesjonału.

— Otóż panie Mikołaju, znalazłem cię!... — rzekł Chicot do siebie.



— Wszak wszystko widziałeś i słyszałeś? — zapytał ksiązę de Guise.

— Nie straciłem ani jednego wyrazu i wszystko będę pamiętał Mości ksiązę.

— Zatem będziesz mógł donieść o wszystkim posłowi Grzegorza XIII-go?...

— Najdokładniej.

— Mój brat mówił mi, że podobno dokonałeś cudownych rzeczy... Opowiadaj, słuchamy.

Kardynał i księżna zbliżyli się ciekawie.

Trzej książęta i siostra ich uformowali grupę, oświeconą bladym promieniem lampy.

Mikołaj Dawid stał od nich o trzy kroki.

— Uczyniłem, co przyrzekłem, Mości ksiązę — mówił — to jest, znalazłem środek osadzenia cię na tronie francuskim.

— I oni!... — zawołał Chicot — jak widzę, wszyscy mają ochotę na tron francuski.

Chicotowi powróciła wesołość, a to z trzech ważnych przyczyn.

Naprzód uniknął wielkiego niebezpieczeństwa, bo go nie poznano; następnie, odkrył znowę; nakoniec znalazł środek zgubienia dwóch nienawistnych ludzi: Mayenna i Dawida.

— Drogie, kochany Gorenflot — szepnął — jakąż ci jutro sprawię wieczerzę za twój habit!

— Jeśli przywłaszczanie będzie nadto krzyczące, musimy się wstrzymać od tego środka — mówił Henryk de Guise — nie chcę mieć przeciwko sobie wszystkich chrześcijańskich monarchów.

— Właśnie o tem myślałem — rzekł adwokat, kłaniając się księciu i wiodąc okiem po zgromadzonych. — Nie tylko biegły jestem, jak nieprzyjaciele utrzymują, w sztuce robienia bronią, ale znam nadto prawo i teologię; według nich, wyprowadziłem genea-

logję i dowiodłem, że ród Valois jest boczną linią uzurpatorską.

Ufność, z jaką Mikołaj Dawid wydeklamował ową przemowę, rozjaśniła twarz pani de Montpansier, wznieciła ciekawość w kardynale i księciu de Mayenne, i wygładziła czoło księcia de Guise.

— Trudno — odezwał się — aby dom Lotaryński, jakkolwiek świetny, mógł przewyższyć w prawach rodzinę Valois.

— To jednak dowiedzione, Mości książę — rzekł pan Mikołaj, podnosząc habit, aby z pod niego wydość ogromny zwój pergaminów.

Książę wziął pakiet podany.

— Co to jest?... — zapytał.

— Drzewo genealogiczne domu Lotaryńskiego.

— Którego pnem...

— Jest Karol Wielki, Mości książę.

— Karol Wielki!...—krzyknęli trzej barcia z niedowierzaniem, które przecież miało niejaki odcień zadowolenia — to niepodobna!... Pierwszy książę Lotaryński, był współczesnym Karola Wielkiego, nazywał się Ranier, i nie był nawet krewnym tego wielkiego cesarza.

— Pozwól Mości książę — rzekł Mikołaj. — Pojmujesz, że nie szukałem takiej kwestji, aby ją jednym cięciem rozplatać. To, co ci potrzeba Mości książę, może się wyjaśnić procesem, który zajmie lud i parlament. A więc patrz, Mości książę!... Ranier, pierwszy książę Lotaryński, współczesny Karola Wielkiego.

— Guilbert jego syn współczesny Ludwika Debonnaire.

— Henryk, syn Guiberta, współczesny Karola Łysego.

-- A... — rzekł książę de Guise.

-- Proszę o chwilę cierpliwości. Bona...

— Tak — rzekł książę — córka Ricina, drugiego syna Raniera.

— Zaślubiona...

— Tak, zaślubiona Karolowi Lotaryńskiemu, synowi Ludwika IV-go — powtórzył Dawid. — Teraz uważaj, Mości książę: Brat Lotarjusza był pozbawiony korony, przez Hugona Kapeta.

— Tak, tak — odezwali się razem książę i kardynał.

— Mów dalej — rzekł książę de Guise, — widać jakieś światelko.

— Karol Lotaryński, był spadkobiercą po swoim bracie Lotarjuszu, po wygaśnięciu jego linii, linja Lotaryńska wygasła, zatem wy tylko jesteście spadkobiercami korony francuskiej.

— Proszę — pomyślał Chicot — nie wiedziałem, że to taka zjadliwa gadzina.

— Cóż ty na to, mój bracie?... — zapytali razem kardynał i książę de Mayenne.

— Mówię — odrzekł książę de Guise, — że we Francji jest prawo, zwane Salickiem, które niweczy nasze pretensje.

— Tegom się, Mości książę, spodziewał — zawołał Dawid z zadowoleniem miłości własnej — ale jakież był pierwszy przykład zastosowania prawa Salickiego?

— Wstąpienie na tron Filipa Valois, z krzywdą Edwarda Angielskiego.

— Kiedy to było?

Książę zaczął szukać w pamięci.

— W roku 1328 — rzekł bez wahania kardynał.

— To jest 341 lat po przywołaniu Hugona Kapeta, 240 lat po wygaśnięciu linii Lotaryńskiej. Zanim prawo Salickie zostało ustanowione, wasza rodzina miała od lat 240 prawo do korony francuskiej. Wszak

wszyscy wiedzą, że żadne prawo wstecz nie obowiązuje.

— Zręcznym jesteś, panie Mikołaju Dawidzie — rzekł książę de Guise, spoglądając na adwokata z rodzajem podziwu, pomieszanego ze wzgardą.

— To bardzo dowcipnie, — zrobił uwagę kardynał.

— To pięknie — rzekł Mayenne.

— To cudowne — odezwała się księżniczka — otóż pochodzę z panującej familji, i nie pójdę zamaż chyba za cesarza niemieckiego.

— Panie — rzekł cicho Chicot — zawsze cię o jedno prosiłem: „Nec nos inducas in tentationem et libera nos ab avocatibus“.

Tylko książę de Guise zastanawiał się.

— I pomyśleć, że podobne wybiegi są dla mnie stosowne, — rzekł. — Pomyśleć, że lud, nim będzie posłusznym, obejrzy genealogję!

— Masz słuszność, Henryku, gdyby szlachetność oblicza tworzyła królów, ty dźwiگاłbyś dziesięć koron. Lecz ważną jest rzeczą, jak mówi pan Dawid, przeprowadzić proces, który, gdy się powiedzie, nasz herb nie zawstydzi się herbów innych panujących.

— A więc ta genealogja jest dobra — rzekł Henryk de Guise, wzdychając — oto dwieście talarów, których żądał mój brat, de Mayenne, dla ciebie, panie Dawidzie.

— A oto drugie dwieście — dodał kardynał — za nową przysługę, jakiej od ciebie będziemy wymagać.

— Jestem na usługi Waszej eminencji — odrzekł Dawid, iskrzącymi oczyma patrząc na złoto.

— Nie możemy polecić ci, ażebyś sam z tą genealogją udał się do Rzymu po zatwierdzenie, bo nadto jesteś małym, abyś się dostał do Watykanu.

— Niestety!... — mówił Mikołaj Dawid — wielkie mam serce, to prawda, ale niskiego jestem rodu. Gdybym był chociaż szlachcicem!

— Ciszejbyś był, rozbójniku — mruknął Chicot.

— Szkoda — mówił kardynał — zatem to poselstwo musimy poruczyć Piotrowi de Gondy.

— Pozwól bracie — odezwała się księżna — Gondy ma dowcip, to pewna, ale trzeba liczyć na ich dumę, którą nasycić może zarówno Henryk, jak księżna de Guise.

— Ludwiku, nasza siostra ma słuszość, zabrał głos księżę Mayenne; równie jak Piotrowi Gondy, możemy zaufać Dawidowi, który nam jest przychylny i z którym w razie zdrady możemy sobie poradzić.

Ta szczerłość rzucona w twarz adwokatowi, szczególnie wpływ na niego wywarła; z przestachu zaczął się śmiać konwulsyjnie.

— Mój brat Karol żartuje — rzekł Henryk de Guise do blednącego adwokata — o twojej zaś wierności nikt z nas nie powątpiewa, nie w jednej sprawie dałeś już jej dowody.

— A osobliwie w mojej — pomyślał Chicot, pokazując pięści nieprzyjaciółom.

— Bądź spokojny Karolu i ty Katarzyno, pomyślałem zawczasu o wszystkim. Piotr de Gondy zawiezie genealogję do Rzymu, ale pomięszaną z innymi papierami tak, że nie będzie wiedział, co wiezie. Papież zatwierdzi albo odrzuci, a Gondy o niczem wiedzieć nie będzie i powróci do Francji, przywożąc ją potwierdzoną, lub odrzuconą. Ty Mikołaju Dawidzie, wyjedziesz jednocześnie z nim i będziesz go czekał w Chalons, Lyonie, albo Avignonie, stosownie do tego, jak cię zawiadomimy. Tak więc, ty tylko będziesz wiedział o naszych zamiarach i ty sam możesz się szczycić naszym zaufaniem.

Dawid skłonił się.

— Ale pod jakimi warunkami, to wiesz kochanku — pomruknął Chicot — bądź spokojny, przysięgam ci na zwłoki świętej Genowefy, że stoisz między dwoma szubienicami, z tych zaś najpewniejsza ta, którą ja tobie gotuję.

Trzej bracia podali sobie ręce i uścisnęli siostrę, która im przyniosła habity, pozostawione w zakrystji; następnie, pomógłszy im przywdziać tajemnicze stroje, zapuściła kaptur na oczy i poszła przed nimi aż do drzwi, gdzie czekał furtjan.

Dawid siedł na ostatku, potrząsając woreczkiem z pieniędzmi.

Furtjan zatrzasnął rygle i powróciwszy do świątyni, zgasił jedyną lampę w chórze; kościół zaległa ciemność, która strachem przejęła Chicota.

Łoskot sandałów oddalającego się mnicha cichł powoli, wreszcie skończył.

Pięć minut, które Chicotowi wydawały się wiekiem, minęły spokojnie.

— Dobrze — myślał gaskończyk — teraz zapewne wszystko skończone; odegrano trzy akty i aktorzy się rozeszli... Dosyć komedji, jak na dzisiaj.

I Chicot, który myślał noc przepędzić w kościele, dopóki widział poruszające się groby, teraz lekko otworzył drzwiczki od konfesjonału i wysunął trwożliwie nogę.

Patrząc po wszystkich kątach kościoła, widział gdzieś drabinę przeznaczoną do czyszczenia okien. Pociemku, poszedł do owego kąta, namacał ją i przystawił do jednego z okien.

Przy świetle księżyca poznał, że okno wychodziło na cmentarz skąd było wyjście na ulicę Bordelle.

Otworzył okno, i usiadłszy na murze, silnie i zręcznie przeciągnął drabinę na drugą stronę.

Zszedłszy z okna, ukrył drabinę w żywopłocie cmentarza i przez mur, który nieco naruszył, dostał się na ulicę.

Tu dopiero odetchnął całą pierśią.

Poczuwszy świeże powietrze, skierował się ku ulicy Ś-go Jakóba, skąd przybył pod „Róg obfitości“.

Na mocne i śmiałe kołatanie otworzył sam pan Klaudjusz Bonhommet.

Był to człowiek, wiedzący o tem, że każdą przysługę płacić należy i dlatego nie gniewał się, gdy go budzono w nocy.

Poznał zaraz Chicota, chociaż był przebrany.

— A! to ty, panie, witam cię.

Chicot dał mu talara.

— A brat Gorenflot? — zapytał.

Uśmiech rozjaśnił twarz oberżysty, postąpił ku gabinetowi i otworzywszy drzwi, rzekł:

— Patrzaj pan!

Brat Gorenflot chrapał swobodnie w tem samym miejscu, w którym go Chicot zostawił.

— Mój przyjacielu — pomyślał gaskończyk — dziwne rzeczy śnić ci się musiały.

## ROZDZIAŁ IX.

JAK PAN DE SAINT-LUC PODRÓŻOWAŁ Z ŻONĄ,  
I JAK ICH SPOTKAŁ ZNAJOMY

Nazajutrz rano, prawie o tej samej godzinie, kiedy brat Gorenflot ubierał się w habit, czytelnik mógłby ujrzeć pomiędzy Chartres i Nogent, dwóch jeźdźców, których konie rżały wesoło.

Jeźdźcy ci przybyli wczoraj do Chartres, prawie o tym samym czasie, na spienionych rumakach.

Jeden z nich padł na placu przed katedrą

w chwili, gdy nabożni szli na mszę.

Był to widok tem ciekawszy, że jeźdźcy nie troszczyli się zupełnie o konia, jakby to był muł najpo-dlejszy.

Wielu zauważyło, bo mieszczanie z Chartres bar-dzo są ciekawi, że jeden z jeźdźców wcisnął w rękę talara hotelowemu słudze i że obadwaj w pół godziny wyjechali na świeżych koniach, wypiwszy tylko po szklance grzanego wina.

Wybiegłszy na pole, jeszcze smagane chłodnym wiatrem, ale już błyszczące sasankami, owymi zwiastunami wiosny, wyższy jeździec zbliżył się do mniej-szego i rzekł, roztwierając ramiona.

— Moja droga, ucałuj mię; nie mamy się już czego lękać.

Wtedy pani de Saint-Luc, albowiem ona to była owym mniejszym jeźdźcem, zgrabnie przechylona, wychyliła ręce z pod szerokiego płaszcza, wsparła je na ramionach towarzysza i zatapiając wzrok w jego twarzy, podała mu swe usta.

Ta pewność, z jaką pan de Saint-Luc żądał ca-łusa, płynęła stąd, że nasi podróżni popasali w Cour-ville o cztery mile od Chartres.

Zatrzymali się tam cały dzień i noc, ukryci w ma-łej izdebce, gdzie kazali sobie podać śniadanie, po-prosiwszy gospodarza, aby mając wzgląd na ich zmę-czenie, nie budził ich aż o świcie.

Tego więc poranku napotykamy państwa de Saint-Luc na drodze z Chartres do Nogent.

Spokojniejsi, niż wczoraj, zaczęli podróżować nie jak zbiegi, nie jak kochankowie, ale jak studenci, któ-rzy chętnie na każdym zatrzymują się punkcie, zbiera-ją kwiatki, kamyki i z rozkoszą ścigają oczyma każ-dego ptaszka, lub zająca.

— Jak to dobrze zależeć od siebie!... — zawołał nagle Saint-Luc. — Czy ty to czujesz Joasiu?



— Ja — odpowiedziała z wesołym śmiechem młoda kobieta — ja nigdy nie byłam wolną i pierwszy raz w życiu przebiegam tyle przestrzeni, ile chcę i biorę w piersi tyle powietrza, ile mi trzeba.

Mój ojciec był podejrzliwy, matka dom tylko lubiąca.

Nigdy nie wychodziłam bez guwernantki, dwóch pokojowych i wielkiego draba, lokaja. Nawet nie przypominam sobie, abym biegała od tego czasu, gdy byłam jeszcze dzieckiem i z dobrą Dianą bawiłam się w Meridor. O! wtedy przez pola, łąki, krzaki biegałyśmy dowoli. Ale, ty, mój drogi, ty żyłeś na swobodzie.

— Ja, wolny?

— Zapewne, jako mężczyzna.

— Niestety, wychowany przy księciu Andegawęńskim, wywieziony z nim do Polski, sprowadzony do Paryża, zmuszony zawsze być z nim, ścigany gdy się chciałem na chwilę oddalić i przymuszony słuchać owego płaczliwego głosu:

— „Saint-Luc, mój przyjacielu, ja się nudzę, pójdz nudzić się ze mną”. Wolny! tak; a ta sznurówka, która mię ustawicznie ścisnęła, a ta wykrochmalona kryza, która mi obcierała szyję, a owe wypomadowane włosy, w które nabierał się stale kurz, a ten kapelusz przybity szpilkami do głowy. O! moja Joasiu, ja jeszcze mniej byłem od ciebie swobodny. To też patrzaj jak korzystam z wolności. Jakież to szaleństwo, nie móc żyć tak, jak chcemy!...

— A gdyby nas pochwycono i wsadzono do Bastylji?... — zagadnęła z trwogą młoda kobieta oglądając się.

— Nic tak dalece złego, gdyby nas razem zamknięto; wszak wczoraj przez cały dzień byliśmy zamknięci, a przecież nie nudziliśmy się.

— Saint-Luc, nie żartuj, bo gdyby nas pochwycono, pewno nie byłibyśmy razem.

— O! bądź spokojna Joasiu.

— Saint-Luc, ukryjmy się.

I zarumieniła się mówiąc:

— Niedługo będziemy już bezpieczni; o! gdybyś znał Meridor, wielkie dęby, które zdają się kolumnami, strumienie, płynące cicho wśród zieleni; stawy pola, łąki, kwiaty, murawy, gołębniki i ule, pełne pszczół. Wśród tego piękna, widząc królowę, wrózkę ogrodów Armidy, dobrą śliczną i nieporównaną Dianę, której serce jest diamentem, pokochałbyś ją mój drogi.

— Kocham ją, bo ona ciebie kochała.

— Jestem pewna, że mię kocha. O! Diana nie zmienia się w przyjaźni. Wyobraź sobie, jak swobodnie pędziłyśmy życie w owym gniazdeczku z mchu i kwiatów, które na nowo wiosna zazieleni!... Diana zarządza domem ojca, barona de Meridor i o nic troszczyć nam się nie trzeba. Baron, jest rycerzem z czasów Franciszka I-go, już słaby dzisiaj. Dla tego zwysięzcy z pod Marignan i z pod Pawji, Diana jest jedynym szczęściem. Możemy mieszkać w Meridor, on nawet o tem wiedzieć nie będzie.

— Jednak — rzekł Saint-Luc — przewiduję sprzeczki.

— O co; o króla Franciszka?

— Nie; na króla się zgadzam, niech sobie będzie najpierwszym wodzem, ale że Diana ma być najlepszą — to nigdy.

— A któż?

— Ty!

— Przecież jestem twoją żoną. Pojmujesz? — mówiła dalej Joanna, Rano idziemy do lasku, z pawilonu, w którym zamieszkałyśmy. O! dobrze pawilon ten pamiętam; dwie wieże złączone z sobą budynkiem

z czasów Ludwika XII-go, architektura cudowna, którą i ty polubisz, bo chwalisz koronki i kwiaty. Z okien widok spokojny i smętny na wielkie lasy niezmierzone okiem, a w alejach widać pasące się jelenie i sarny.

— Śpieszmy się Joasiu — rzekł Saint-Luc — jużbym pragnął być w Meridor.

I dali ostrogi koniom, które biegły dwie, lub trzy mile i zwolniły znów, aby podróżnym dać możność rozmowy lub pocałunków.

W ten sposób przebyli drogę z Chartres do Maux, gdzie bawili cały dzień i wyjechali z postanowieniem dojechania na wieczór do Meridor.

Przybywszy tam, Saint-Luc uważał, że niema już żadnego niebezpieczeństwa.

Znał doskonale króla, który zarówno mógł za nim wysłać żołnierzy z rozkazem dostawienia żywego, lub umarłego, albo też poprzestać na powiedzeniu:

— A! zdrajca Saint-Luc, czemuż go wcześniej nie poznałem?

Ponieważ zaś nasi podróżni żadnego nie napotkali kurjera, sądzić mogli, że król Henryk odnosi się do całej tej historii biernie.

Właśnie Saint-Luc tłumaczył to żonie, oglądając się na pustą drogę.

— Dobrze — pomyślał — burza spadła na Chicota.

Nagle uczuł dłoń żony na swem ramieniu.

Zadrzał, bo to nie były pieśczoły.

— Co tam? — zapytał.

— Patrz.

Saint-Luc odwrócił się i ujrzał na chmurnem tle nieba postać jeźdźca.

Jeździec ten był na wzgórzu i na tle nieba wydawał się ogromnym.

— Tak — rzekł błędąc mimowolnie, ktoś jedzie.

— Uciekajmy — rzekła Joanna, dając koniowi ostrogę.

— Nie trzeba — odrzekł Saint-Luc, który zachował zimną krew; ten jeździec jest sam, a jednego człowieka niema się czego lękać. Pozwólmy mu minąć nas, a potem udamy się w dalszą drogę.

— A jeżeli przystanie?

— Zobaczymy czego chce, i postąpimy stosownie.

— Masz słuszność — odpowiedziała Joanna — nie potrzebuję lękać się, gdy Sain-Luc jest przy mnie.

— Mimo wszystko, pośpieszajmy — odrzekł Saint-Luc, rzucając za siebie niespokojne wejrzenie — pióro na kapeluszu i kryza niepokoją mię.

— Co takiego? kryza i kapelusz cię niepokoją?.. — pytała Joanna kierując konia w las.

— Bo pióro jest koloru modnego dziś na dworze, a krój kryzy nowy. Śpieszmy się Joanno, jeździec ten zdaje się być posłańcem króla.

— Śpieszmy się — powtórzyła Joanna drżąc jak listek na samą myśl, że może być z mężem rozłączona.

Rzecz była łatwiejszą do pomyślenia niż do wykonania. Jodły rosły gęsto i tworzyły prawdziwy mur gałęzi. Konie po piasku nie mogły przyspieszyć tempa.

Tymczasem jeździec zbliżał się szybko i tętent dawał się słyszeć coraz donośniej.

— Jezus Marja! czego on od nas chce?...

— Na honor — rzekł Saint-Luc, zatrzymując się — trzeba się tego dowiedzieć.

— Patrz! zatrzymał się.

— Zsiadł nawet z konia, wchodzi do lasu. Muszę z nim pomówić.

— Czekaj — zawołała Joanna, zatrzymując męża: czekaj, zdaje się, że woła.

W rzeczy samej, nieznamomy przywiązawszy konia do sosny, biegł wołając:

— Pani, pani, oto twoja zguba!

— Co on mówi?... — zapytała hrabina.

— Mówi, żeśmy coś zgubili.

— Pani — wołał nieznamomy — zapomniałaś bransoletki, w zajeździe Courville. Co u licha! klejnotu z portretem kobiety nie zapomina się. Na miłość Boską, nie każ mi tak gonić!

— Znam ten głos — rzekł Saint-Luc. — Zgubiłaś bransoletkę, najdroższa?

— Dopiero dzisiaj to spostrzegłam.

— To Bussy!... — zawołał nagle Saint-Luc.

— Hrabia Bussy!... — powtórzyła zdumiona Joanna.

Saint-Luc równie spiesznie biegł naprzeciw przyjaciela, jak gorliwie starał się go unikać.

— Saint-Luc! nie omyliłem się — mówił wesoło i donośnie Bussy. Witam panią odezwał się do hrabiny, podając jej portret matki oprawny w bransoletkę.

— Chcesz pan zatrzymać nas? — zapytała z uśmiechem Joanna.

— Ja? nie mam tyle u Jego królewskiej mości zaufania, aby mi podobne czynności poruczał. Znalazłem bransoletkę pani w Courville i to mnie przekonało, że mnie państwo wyprzedzacie; popędziłem więc konia, wybaczcie, jeżeli was strwożyłem.

— A więc traf nas połączył — rzekł Saint-Luc.

— Raczej Opatrzność — odpowiedział Bussy. Saint-Luc uspokoił się już zupełnie widząc wesołe i szczere wejrzenie de Bussy.

— Jedziesz pan dalej?... — zapytała Joanna.

— Jadę — odrzekł Bussy, siadając na konia.

— Czy także w niełasce u króla?

— Mało brakuje.

— Dokąd?

— Ku Angers, a państwo?

— My także.

— Rozumiem, Brissac leży pomiędzy Angers i Saumur, i zapewne pod rodzinną strzechą, jak gołębki, chcecie szukać spokoju. Zazdrościłbym wam szczęścia, gdyby zazdrość nie była nikczemnością.

— Ożeń się pan, a będziesz równie szczęśliwy — odrzekła Joanna; — wielkie to szczęście kochać.

Spojrzała na pana Saint-Luc, jakby przyzywała go na świadka.

— Pani — odpowiedział Bussy — niezupełnie ufam szczęściu, bo nie każdy żeni się za pozwoleniem króla.

— Mężczyzna taki jak pan, wszędzie powinien znaleźć miłość.

— To jest nigdzie.

— Kiedy tak — mówiła Joanna uśmiechając się — ja pana ożenię; bo najprzód wpłynie to na uspokojenie młodzieży, następnie obdarzy się szczęściem, o którym powątpiewasz.

— Bynajmniej, — rzekł Bussy — nie śmiem tylko pochlebiać sobie, aby to szczęście było mi przeznaczone.

— Pozwoli pan ożenić się?... — zapytała pani de Saint-Luc.

— Według mego upodobania, chętnie...

— Mówisz pan, jakbyś chciał zostać starym kawalerem.

— Być może.

— Może kochasz osobę, której nie możesz zaślubić?...

— Hrabio — odezwał się Bussy — niech hrabia nie zatapia mi sztyletu w serce.

— To chyba kochasz się w mojej żonie?...

— W takim razie musisz mi przyznać delikatność i nie powinieneś być zazdrosnym.

Tu Saint-Luc przypomniał sobie, że Bussy wprowadził mu żonę do Luwru.

— Mniejsza o to — rzekł — ale serce twoje nie próżnuje.

— Przyznaję.

— Czy z miłości, czy z przywidzenia?... — zapytała Joanna.

— Z namiętności, pani.

— A więc pana uleczę.

— Nie sądzę.

— Ożenię pana.

— Wątpię.

— Będziesz pan szczęśliwym.

— Niestety!... pani, mojem przeznaczeniem jest być nieszczęśliwym.

— Jestem uparta i trwam w zamiarze.

— I ja także — rzekł Bussy.

— Hrabio, ulegniesz.

— Pani — rzekł młodzieniec — podróżujmy jak przyjaciele. Wyjedźmy naprzód z piasku, a na nocleg dostaniemy się do tej pięknej wioski, co tam bliższy wdali.

— Do tej, albo do innej.

— Mało mi na tem zależy.

— Więc nam pan towarzyszy?...

— Byle to państwu nie zrobiło przykrości.

— Przeciwnie; jedź pan z nami.

— A dokąd państwo jedziecie?...

— Do Meridor.

Mocny rumieniec okraślił twarz Bussego. Następnie zbladł i tajemnica jego byłaby odgadnięta, gdyby Joanna nie patrzyła na męża.

Bussy miał czas przyjść do siebie, nim małżonkowie rozmówili się oczyma.

— Więc państwo jedziecie do Meridor?... Cóż za interes?....

— Jest to majątek jednej z moich przyjaciółek  
— odpowiedziała Joanna.

— Jednej z przyjaciółek... — która jest zapewne w domu?

— Zapewne — odrzekła pani de Saint-Luc, nie wiedząc zupełnie o wypadkach od dwóch miesięcy zaszłych w Meridor. — Pan nic nie słyszał o baronie Meridor?...

— O baronie Meridor?...

— Albo o jego najpiękniejszej córce?...

— Nic, pani — odpowiedział Bussy, ledwie dysząc.

A w duszy mówił sobie:

— Jakież szczęście każe mi spotykać ludzi, którzy mówią o ukochanej istocie, wtrącają samotnej i najdroższej myśli?... Miałażby to być niespodzianka, albo zasadzka? Saint-Luc nie był już w Paryżu, gdy Bussy zaszedł do pani de Monsoreau i kiedy dowiedział się, że hrabina de Monsoreau, była Dianą de Meridor.

— Zamek jeszcze daleko?... — zapytał.

— Siedem mil; ale tam spodziewaliśmy się nocować. Pojedzie pan z nami?.. — zapytała pani de Saint-Luc.

— Tak, pani.

— Będzie to krok ku szczęściu, o którym panu mówiłam.

Bussy skłonił się i począł jechać obok.

Po chwili milczenia, Bussy zadał pytanie:

— Baron de Meridor, co to za człowiek?...

— Prawdziwy rycerz dawnych czasów.

— Za kogoż wydał córkę?... — znowu nieśmiało zapytał.

— Wydał córkę?...



— Tak.

— Diana poszła zamaż?...

— Cóżby w tem było nadzwyczajnego.

— Zapewne, nic; ale jabym pierwsza o tem wiedziała.

Ciężkie westchnienie wydarło się z piersi Bussego.

— Kiedy tak — rzekł — to pannę de Meridor pewnie zastaniemy w domu?...

— Tak sędzę — odpowiedział Saint-Luc, pojmując myśli żony.

Nastąpiło długie milczenie. Wszyscy troje pograżyli się w swych myślach.

— Otóż!... — zawołała nagle Joanna, wznosząc się na strzemionach — otóż widać już wieże zamku. Panie Bussy, pośród tych drzew, które za miesiąc zazielenią się, patrz, widzisz ceglany dach?...

— Tak jest, — mówił Bussy z mocnem wzruszeniem. — To zamek Meridor?...

Na widok tego pięknego i bogatego kraju, na widok domu zamożnego, przypomniał sobie biedną, skazaną na pobyt w ciężkiem powietrzu Paryża, przy ulicy Ś-go Antoniego.

I westchnął, tym razem nie z boleści, bo pani de Saint-Luc, nie mogąc go szczęściem obdarzyć, pozwoliła mu mieć nadzieję.

## ROZDZIAŁ X.

### OSIEROCONY STARZEC

Pani de Saint-Luc nie myliła się.

We dwie godziny później podróżni stanęli przed zamkiem Meridor.

Bussy namyślał się chwilę, czy ma opowiedzieć przwodę, wskutek której Diana de Meridor opuściła dom rodzinny.

Lecz zacząwszy opowiadać, należało wyjaśnić nie tylko to, co niebawem wszyscy mieli wiedzieć, ale i to, czego Bussy nie powierzyłby nikomu.

Wstrzymał się więc od rozmowy, któraby wiodła za sobą liczne pytania i odpowiedzi.

Prócz tego, Bussy chciał przybyć do Meridor incognito.

Pragnął mówić z panem de Meridor bez poprzedniego przygotowania, słyszeć jego zdanie o panu de Monsoreau i o księciu Andegaweńskim, a następnie przekonać się, czy opowiadanie Diany było szczere; nie mógł powątpiewać o prawdzie opowiadania; ale czy ona sama nie myliła się w sądzie o zaszłych wypadkach?

Bussy zachował, jak widzimy, dwa różne uczucia, które go nawet wśród miłostwego szafu trzymały na pośredniej drodze; miał na względzie osoby obce i wysoko cenił ukochaną kobietę.

Tak więc, pani de Saint-Luc, mimo przenikliwości kobiecej, była przekonania, że Bussy po raz pierwszy słyszy imię Diany i że to imię nie budzi w nim żadnej nadziei, jako należące do prowncjonalnej piękności, która okazać się może niezgrabną i pomieszaną przybyciem gości z wielkiego świata.

Sądziła więc, że sprawi mu przyjemną niespodziankę.

Jedną ją rzecz dziwiła, że chociaż zadęła w trąbkę aby uprzedzić o swoich odwiedzinach, Diana nie ukazywała się na zwodzonym moście.

Natomiast ujrzała wychodzącego z głównej bramy starca opartego na kij.

Ubrany był w aksamitną zieloną kurtkę, podbitą lisami, u pasa miał srebrną piszczałkę i pęk kluczy.

Wieczorny wietrzyk igrał z jego białymi włosami.

Przeszedł zwodzony most, za nim postępowwały wolnym krokiem, ze zwieszonymi łbami dwa wielkie psy rasy niemieckiej.

Starzec przybywszy do oszklonej bramy, zapytał słabym głosem:

— Kto tam chce biednego starca odwiedzić?

— To ja, panie Augustynie — odpowiedział drżący ze śmiechu głos kobiety.

Joanna de Cossé tak nazywała starca dla różnienia od młodszego brata, Wilhelma, zmarłego przed trzema laty.

Baron wznosił powoli głowę i oczy wlepił w podróżnych.

— Kto jesteś — rzekł — nie poznaję cię...

— Jakto! pan mnie nie poznaje? — A! prawda, przebranie,...

— Przebacz — odpowiedział starzec — Stare oczy nie do płakania, a kiedy płaczą, to łzy je prze-  
palają.

— Prawda kochany baronie — rzekła — twój wzrok jest widocznie osłabiony, bo mimo stroju poznałbyś mnie zapewne.

— A więc mam honor przedstawić się panu jako pani de Saint-Luc.

— Saint-Luc — powtórzył starzec — nie mam szczęścia znać tego nazwiska.

— Ale może pan znasz moje panięńskie nazwisko — odparła młoda mężatka — Joanna de Cossé-Brissac.

— A! mój Boże! — wykrzyknął starzec, drżącymi rękami otwierając zaporę.

Joanna nie pojmując tego szczególniejszego przyjęcia, tak różnego od tego jakiego się spodziewała, co przypisywała wiekowi starca i jego osłabieniu, widząc, że jest poznana, zsiada i rzuciła się w jego objęcie.

— Pójdź — rzekł starzec, uściskawszy Joannę. Ponieważ nie spostrzegł dwóch jej towarzyszków, postępował ku zamkowi krokiem równym i mechanicznym, a za nim obydwaj psy, które nie miały czasu obejrzeć i obwąchać podróżnych.

Powierzchność zamku była bardzo smutna; wszystkie okiennice zamknięte, rzec można, że był to wielki grobowiec.

Słudzy czarno ubrani kręcili się tu i owdzie.

Saint-Luc spojrzeniem zapytał żonę, czy to spodziewała się w zamku zastać.

Joanna zrozumiała, że zaś sama pragnęła wyjść jak najprędzej z niepewności, zbliżyła się do barona i ujęła go za rękę.

— A Diana? — rzekła — niema jej w domu?

Starzec osłupiał, jakby rażony piorunem, i spojrział z wyrazem przejmującym trwoga.

— Diana?... — wyrzekł tylko.

Psy na dźwięk tego imienia, uniosły mordy i zawyły żałośnie.

Bussy zadrżał.

Joanna spojrzała na Saint-Luca, który nie wiedział, czy ma iść dalej, czy się cofnąć.

— Diana! — powtórzył starzec, jakby potrzebował czasu na zrozumienie pytania. — Więc nic nie wiesz?...

Głos jego słaby i drżący przeszedł w łkanie.

— O czym? czy się tu zdarzył jakiś wypadek? — krzyknęła Joanna wzruszona, załamując ręce.

— Diana umarła! — zawołał starzec, z rozpaczą wznosząc ręce ku niebu; jednocześnie potok łez spłynął mu po twarzy.

— Umarła! — powtórzyła Joanna, usłupiała z przestrawienia, blednąc jak widmo.

— Umarła! — rzekł Saint-Luc z czułem politowaniem dla starca.

— Umarła! — wyjąkał Bussy i pomyślał:  
On sądzi, że Diana nie żyje! Ach! biedny starcze,  
jak ty mnie niedługo pokochasz!

— Umarła! umarła! — powtórzył baron — za-  
bili mi ją.

— Drogi panie — rzekła Joanna, która dotknięta  
tym strasznym ciosem, znalazła jedyną kobietą po-  
ciechę w płaczu.

Zaczęła łkać, oblewając łzami starca, na którego  
szyi zawisała.

Stary pan zamku zebrał się na odwagę.

— Nic to — rzekł — pusty i samotny dom mój  
zawsze jednak jest gościnnym. Proszę za mną.

Joanna wzięła starca pod rękę, przeszła z nim  
przedsionek, salę jadalną i weszła do salonu.

Służący, którego zmieniona twarz i zaczerwie-  
nione oczy zdradzały czułe przywiązanie, szedł na-  
przód, drzwi otwierając; Saint-Luc i Bussy postępo-  
wali za nimi.

Przybywszy do salonu, starzec usiadł, albo ra-  
czej upadł na krzesło.

Lokaj otworzył okno, aby wpuścić nieco świe-  
żego powietrza.

Joanna nie śmiała przerwać milczenia.

Lękała się zranić serce ojca, przecież jak wszyst-  
kie osoby młode i szczęśliwe, nie chciała uwierzyć  
nieszczęściu.

Jest wiek, w którym niepodobna zmierzyć prze-  
paści śmierci.

Baron odezwał się pierwszy:

— Mówiłaś mi, droga Joasiu, żeś poszła zamaż;  
czy ten pan jest twoim mężem?

I wskazał na Bussego.

— Nie, — odpowiedziała Joanna — oto pan de  
Saint-Luc.

Saint-Luc skłonił się przed nieszczęśliwym ojcem, niżej, niżby to uczynił przed sędziwym starcem.

Ten powitał go po ojcowsku, a nawet z uśmiechem; następnie nateżając wzrok rzekł:

— A ten pan jest twoim bratem, albo krewnym?

— Nie, panie baronie, nie jest naszym krewnym, ale przyjacielem; pan Ludwik Clermont, hrabia Bussy d'Amboise, dworzanin księcia Andegaweńskiego.

Na te słowa, starzec prostując się nagle, rzucił straszne spojrzenie na Bussego i po chwili upadł złamany na krzesło.

— Co to? — zapytała Joanna.

— Czy baron zna ciebie, panie de Bussy? — odezwał się Saint-Luc.

— Pierwszy raz mam szczęście widzieć barona — odrzekł spokojnie Bussy, który sam tylko pojmował, jakie wrażenie na starcu uczyniło nazwisko księcia Andegaweńskiego.

— A! pan jesteś dworzaninem księcia Andegaweńskiego — mówił baron — dworzaninem tego szatana i śmiesz przyznawać się do tego?

— Czy on oszalał? — cicho zapytał Saint-Luc żony.

— Być może, rozpacz domieszała mu zmysły — odrzekła strwożona Joanna.

Pan de Meridor dodał spojrzenie groźniejsze jeszcze niż pierwsze; Bussy przecież zniósł je z uszanowaniem i nic nie odrzekł.

— Tak, tego potwora, szatana — znowu mówił pan de Meridor coraz mocniej — tego mordercy mojej córki!

— Biedny baron! — mruknął Bussy.

— Jakto? — zapytała Joanna.

— Nic nie wiesz, że tak zdziwionemi oczyma na mnie patrzysz — zawołał baron, biorąc rękę Joanny

i pana de Saint-Luc — to książę Andegaweński zabił moją Dianę; on zabił moją córkę, moje jedyne dziecko!

Ostatnie wyrazy wymówił z taką boleścią, że nawet Bussemu łzy w oczach stanęły.

— Panie — odezwała się młoda mężatka — nic dotąd nie pojmuję, a chociażby tak było, nie sądzę abys mógł winić pana de Bussy, najwaleczniejszego i najszlachetniejszego rycerza. Przekonaj się dobry ojcze, że pan de Bussy nie wie o niczem. Czyżby tu przybył, spodziewając się z twojej strony podobnego przyjęcia? O! panie, na miłość Diany, powiedz co to za smutny wypadek?

— Więc nic pan nie wiesz?... — rzekł starzec, zwracając się do Bussego.

Bussy skłonił się w milczeniu.

— Mój Boże!... — zawołała Joanna — jakto! więc nikt nie wie o tym wypadku?

— Diana umarła i najlepsza jej przyjaciółka nic nie wie... A! prawda, nie pisałem, ani nie mówiłem o tem nikomu; zdawało mi się, że świat powinien przestać istnieć, gdy córka skonała; zdawało mi się, że wszyscy po Dianie powinni chodzić w żałobie.

— Mów, mów panie, to ci może ulży cokolwiek — rzekła Joanna.

— O! tak — znowu zaczął baron — ten niecny książę ujrzał moją Dianę, kazał porwać i uprowadzić do zamku Beauge jakby niewolnicę. Diana przeżyła śmierć nad sromotę. Wyskoczyła oknem do jeziora i tylko jej zasłonę znaleziono na wodzie.

Ostatnich wyrazów nie mógł wymówić bez łkania, rozrzewniając wszystkich, nawet Bussego, przywykłego do widoku krwi.

Joanna patrzyła na hrabiego z trwogą.

— To okropne?... — zawołał Saint-Luc, Hrabio, musisz opuścić księcia.

Starzec odzyskując nieco sił, czekał odpowiedzi Bussego, aby wyrobić sobie o nim zdanie; wyrazy Saint-Luca pocieszyły go trochę.

Bussy zamiast odpowiedzieć, postąpił ku baronowi de Meridor.

— Panie baronie — rzekł — proszę o chwilę samotnej rozmowy?

— Paniel!... —zawołała Joanna — usłuchaj pana de Bussy a przekonasz się, że jest dobrym i szlachetnym.

— Mów panie — odpowiedział baron, drżąc cały, dojrzał bowiem coś dziwnego w spojrzeniach młodzieńca.

Bussy zwrócił się ku panu de Saint-Luc i jego żonie i rzekł:

— Zostawcie nas samych.

Małżonkowie wyszli z sali.

Bussy zbliżył się do barona i skłonił nisko.

— Panie baronie — rzekł — w mojej obecności obwiniałeś księcia, któremu służę, a obwiniałeś tak gwałtownie, że zmuszony jestem żądać wyjaśnień.

Starzec zrobił poruszenie.

— O! nie bierz pan za złe mojego wyrażenia — mówił dalej Bussy — mówię szczerze i po przyjacielsku, a mówię dlatego, aby osłodzić twoje cierpienia, smutny wypadek, o którym wspomniałeś. Zobaczymy, czy wszystko nie jest tylko zręczną intrygą i czy nie ma środka ratunku.

— Panie — odpowiedział starzec — miałem chwilę nadziei. Szlachetny i waleczny kawaler — pan de Monsoreau, kochał moją córkę i bardzo się nią zajmował.

— Pan de Monsoreau! dobrze, zobaczymy, jakie było jego postępowanie.

— Szlachetne, prawdziwie rycerskie, mimo że Diana odrzuciła jego rękę. On pierwszy uprzedził



mię o niecnym zamiarach księcia, podał środki uniknięcia ich, a wszystko w sposób odsłaniający jego szlachetność i prawość charakteru. Prawda, żądał ode mnie jednej rzeczy, a tą była Diana, jeżeli ją zdoła od hańby uchronić. Nie mogłem odmawiać tej nagrody, bo młody, czynny i przedsiębiorczy mąż, więcej mógł zdziałać, niż ojciec stojący nad grobem. Zezwoliliśmy; ale niestety! przybył za późno.

— A od tej chwili, pan de Monsoreau nie przesłał żadnych wiadomości?... — Zapytał Bussy.

— Zaledwie miesiąc upłynął — rzekł starzec — a zapewne szlachetny mąż nie miał odwagi ukazać się, nie zdoławszy swojego zamiaru przywieść do skutku.

Bussy spuścił głowę.

Pojał jak pan de Monsoreau pozbawił księcia osoby, którą ukochał, jak bojaźń gniewu potężnego pana zmuszała go do ukrywania małżeństwa nawet przed ojcem, za pomocą pogłoski o śmierci Diany.

— I cóż? — rzekł starzec.

— Baronie!... — odezwał się Bussy — mam od księcia Andagawęńskiego polecenia przywiezienia pana do Paryża, gdzie Jego książęca mość życzy sobie mówić z panem.

— Ze mną!?... — wykrzyknął baron — ja mam widzieć go po śmierci córki. Cóż on może mi powiedzieć?...

— Kto wie?... może się oczyści z zarzutów.

— Usprawiedliwi!... niestety!... nie powróci mi jednak dziecka. Nie, panie de Bussy, nie pojedę.

— Panie baronie — odrzekł de Bussy — pozwól, abym cię o to prosił; moim obowiązkiem jest zawieźć cię do Paryża, i poto przybyłem.

— Dobrze, pojedę — wykrzyknął baron de Meridor, drżący z gniewu — ale biada tym, którzy mię usiłują zgubić. Król zechce mię wysłuchać, a jeżeli

nie, odwołam się do szlachty. Tak — dodał ciszej — zapomniałem, że mam broń, której dotąd nie używałem. Panie de Bussy, jadę!

— Ja, panie baronie, radzę ci cierpliwość, spokój i godność. Bóg rozliczne chowa nagrody dla szlachetnych serc. Proszę cię także, abyś nie liczył mię do nieprzyjaciół, bo nigdy nie chciałbym na to zasłużyć. Jutro, jeżeli łaska, panie baronie, puścimy się w drogę o świcie, im prędzej tem lepiej.

— Chętnie — odrzekł starzec, wzruszony — tymczasem wróg, czy przyjaciel, jesteś moim gościem.

I, wzięwszy ze stołu srebrny lichtarz, krokiem ciężkim prowadził Bussego po schodach zamkowych.

Psy chciały iść za nim. Wstrzymał je jednym skinieniem.

Służący ze światłem szli za Bussym w milczeniu.

Przybywszy na próg pokoju przeznaczanego sobie, Bussy zapytał o panią i pana de Saint-Luc.

— Stary German pamiętał o nich — odpowiedział baron. — Dobranoc, panie hrabio.

## ROZDZIAŁ XI.

JAK REMY LE HAUDOIN POD NIEOBECNOŚĆ BUSSEGO,  
BYWAŁ PRZY ULICY Ś-GO ANTONIEGO

Państwo de Saint-Luc nie mogli wyjść z podziwienia.

Tajemna rozmowa Bussego z panem de Meridor, zamiar rychłego wyjazdu do Paryża, nakoniec, zajęcie się Bussego sprawą zupełnie dla niego obcą, wszystko to było trudne do wytłumaczenia.

Co do barona, magiczna potęga tytułu: Jego książęca mość, wywarła na nim wpływ. Szlachcic

z czasów Henryka III-go uśmiechał się do tytułów i herbów.

„Jego książęca mość“, znaczyło dla pana de Meridor, jak równie dla wszystkich, siłę przemożną.

Skoro zaświtał ranek, baron pożegnał gości. Państwo de Saint-Luc oświadczyli chęć opuszczenia Meridor, i udania się do sąsiedniej posiadłości Brissac.

Bussy potrzebował kilka sekund na usprawiedliwienie, a posiadając tajemnicę, którą w każdej chwili mógł odsłonić, był jak owi czarnoksiężnicy, którzy za jednym poruszeniem laseczki, wywołują łąy, rozjaśniają twarze i uśmiech sprowadzają na usta.

Tych kilka sekund użył Bussy na poszepnięcie paru słów do ucha młodej i pięknej pani de Saint-Luc.

Twarz Joanny zajaśniała radością; a gdy mąż pytał ją spojrzeniem, położyła palec oa ustach i uciekła jak sarna, przesyłając ręką podziękowanie Bussemu.

Starzec nie uważał na jej poruszenia, z okiem wlepionem w dom rodzinny pieścił machinalnie dwa psy, które nie chciały go opuścić i głosem drżącym wydawał domownikom rozkazy.

Nakoniec, z pomocą masztalerza, wsiadł na ulubionego wronego konia, na którym niegdyś walczył i ręką pożegnawszy zamek, oddalił się w milczeniu.

Bussy iskrzącymi oczyma patrzył na Joannę i odwracał się często, aby spojrzeć na przyjaciół.

Gdy ich opuszczał, Joanna rzekła mu cicho:

— Dziwny z ciebie człowiek, panie Bussy; przyrzekałam ci wesele w Meridor, a ty właśnie sprowadzasz szczęście, które z niego uleciało.

Z Meridor do Paryża daleko, osobiwie dla staro-  
rego barona.

W drodze Bussy pozyskał serce starca, w którym na wstępie obudził nienawiść.

Szóstego dnia rano pod Paryżem, pan de Meridor odezwał się głosem, objawiającym zupełną zmianę.

— Hrabio — rzekł — blisko już do mojego nieszczęścia, a przecież jestem spokojniejszy.

— Za dwie godziny, — odpowiedział Bussy — ocenisz mnie pan, jak na to zasługuję.

Wjechali do Paryża przez przedmieście S-go Marcelego.

— Jedziemy do Luwru? — zapytał baron.

— Panie — odpowiedział Bussy — najprzód zaprowadzę cię do mojego pałacu, abys odpoczął i przebrał się, stosownie do godności osoby, której mam cię przedstawić.

Ludzie hrabiego nie oczekiwali go jeszcze, albo raczej oczekiwać przestali.

Wyszedł bowiem z domu w nocy przez małe drzwi, od których jeden klucz posiadał, sam osiodłał konia i wyjechał, widząc się tylko z Remy Haudouin.

Łatwo pojąć, że jego nieodgadnione zniknięcie, przygody doznane w zeszłym tygodniu, którym nawet rany nie przeszkadzały natchnęły domowników myślą, że ich pan wpadł w zasadzkę, a los odwrócił się.

Kiedy najlepsi przyjaciele i wierni słudzy Bussego odprawiali nowenny na intencję jego powrotu, więcej pozytywni szukali ciała jego po piwnicach, kanałach, rzece i fosie Bastylji.

Jeden tylko człowiek, gdy go pytano o Bussego, odpowiadał:

— Jest zdrów i cały.

Człowiekiem, tak pewnym życia swojego pana, był Remy le Haudouin, który od rana do wieczora włóczył się po mieście, a nawet w nocy, i ilekroć powracał, zwątpiałym domownikom przynosił nieco radości.

Właśnie powracając z jednej z tajemniczych wycieczek, posłyszał na dziedzińcu wesołą wrzawę i ujrzał tłum służących, otaczających pana.

Bussy mówił:

— Jesteście uradowani z mojego przybycia, dziękuję wam. Zapytujecie oczyma, czy to ja sam czy tylko mój cień. Pomóżcie lepiej temu panu zsiąść z konia i pamiętajcie, że jest on przedmiotem szczególniejszego mojego uszanowania.

Bussy umyślnie zwrócił uwagę służących na starca. Sądząc z jego skromnych i niemodnych sukni, ze starego konia, który nie mógł wytrzymać porównania z wierzchowcami Bussego, brali go za jakiegoś prowincjonalnego masztalerza, którego pan ich, lubiący przygody, z sobą przyprowadza.

Po tych wyrazach, obstąpili barona. Hauduin śmiejąc się, patrzył zdaleka na wszystko; potrzeba było całej powagi Bussego, aby spędzić radosny uśmiech z wesołej twarzy młodego lekarza.

— Prędzej, pokój dla tego pana — zawołał Bussy.

— Jaki?... — zapytało naraz kilka głosów.

— Najlepszy, mój własny!

Pan de Meridor pozwalał się wieść prawie bezwładnie.

Podał rękę starcowi, aby wejść na schody i przyjąć go jak najgodniej.

Przyniesiono złożony puhar, w który Bussy chciał nalać wina na powitanie.

— Dziękuję, — rzekł starzec — idźmy prędzej, gdzie iść mamy.

— Pójdziemy, bo nietylko pan, ale i ja znajdem tam szczęście.

— Przyznam się, hrabio, że używasz języka, którego nie rozumiem.

— Mówię, że miłosierna Opatrzność chowa dla nas nieodgadnione pociechy i że zbliża się chwila, w której się o tem przekonamy.

Baron z podziwieniem spojrział na Bussego, który ręką dał znak, jakoby chciał powiedzieć; zaraz powrócił i wyszedł z uśmiechem na ustach.

Zastał młodego lekarza przy drzwiach; poprowadził go do oddzielnego gabinetu.

— I cóż, mój Hipokratesie, — rzekł — daleko jesteście?

— W czym?

— Co do ulicy świętego Antoniego.

— Jestem w punkcie bardzo interesującym.

Bussy odetchnął.

— Czy mąż powrócił? — zapytał.

— Powrócił, lecz bezskutecznie. Myślę, że potrzeba do rozwiązania dramatu ojca, którego chyba sam Bóg ześle cudownym sposobem.

— Skąd wiesz o tem?

— Mości hrabio — rzekł Haudouin ze zwykłą wesołością — ponieważ w czasie twojej nieobecności nie miałem komu służyć, starałem się obrócić wolny czas na swoją korzyść.

— Opowiedz mi co uczyniłeś.

— Po wyjeździe pana hrabiego przeniosłem pieniądze, książki i szpadę do mieszkania, najętego na rogu ulicy św. Antoniego i św. Katarzyny.

— Wybornie.

— Stamtąd mogłem widzieć cały dom, któryśmy wynaleźli, ale to od piwnic, aż do kominów.

— Cóż dalej?

— Sprowadziwszy się, zasiadłem w oknie.

— Bardzo rozumnie.

— Jednak była w tem niedogodność.

— Jaka?

— Że można było dostrzec cień mężczyzny, ustawicznie patrzącego w jednym kierunku, a stąd pośądzenia, że jestem szpiegiem, kochankiem, albo obłąkanym.

— Słusznie; cóż więc uczyniłeś?

— O! panie hrabio, na wszystko są środki.

— Jakiż więc wynalazłeś?

— Zakochałem się.

— Co?...

— Zakochałem się, a do tego szalenie.

— W kimże?

— W Gertrudzie.

— W Gertrudzie, służącej pani de Monsoreau?

— Nieinaczej. Alboż to ja szlachcic, abym się w paniach kochał; jestem ubogim lekarzem, nie mam pacjentów i z jednego, którym mię Pan Bóg obdarzył nie myślę wielkich ciągnąć korzyści, a potrzeba robić doświadczenia „in anima vili”.

— Biedny Remy, wierz mi, umiem oceniać poświęcenie.

— Mości hrabio, mimo wszystko, niema mię co żałować. Gertruda jest smacznym kąskiem, ma jeden nieoceniony talent.

— Jaki?

— Cudownie opowiada.

— Doprawdy?

— Przez nią wiem wszystko, co się u jej pani dzieje.

— Haudouin, czy Opatrzność cię na mojej postawiła drodze. A więc dobrze jesteś z Gertrudą?

— „Puella me deligit” — odpowiedział Haudouin.

— I bywasz w domu?

— Byłem wczoraj o samej północy; wszedłem na palcach, przez ową bramę, którą pewnie pamiętasz, hrabio.

— Jakżeś tego szczęścia dostąpił?

— Bardzo prostym sposobem. Nazajutrz po wyjeździe, kiedy sprowadziłem się do świeżo najętego mieszkania, zczekałem przed bramą, aby pani moich myśli wyszła za kupnem żywności. Jak tylko ukazała się, dziesięć minut na dziesiątą, udałem się za nią.

— Poznała cię?

— Tak, aż krzyknęła i uciekła.

— Wtedy?...

— Wtedy pobiegłem za nią, i dogoniłem.

— Jezus!... — wykrzyknęła.

— Marjo! — dodałem. — To ją dobrze usposobiło,

— Lekarz!... — rzekła.

— Piękna gosposia!... — odpowiedziałem.

Uśmiechnęła się i odrzekła po chwili:

— Pan jesteś w błędzie, ja pana nie znam.

— Ale ja znam panią — odpowiedziałem — bo od trzech dni tylko dla ciebie żyję, tak dalece, że nie mieszkam już przy ulicy Beautreillis, ale przy ulicy Ś-go Antoniego, a zmieniłem mieszkanie tylko dlatego, aby cię widzieć. Jeżeli panienko będziesz miała kogo do opatrzenia, to udaj się do mnie.

— Ciszej!...

— A!... widzisz!... —

— Tym oto sposobem zawarłem znajomość.

— Jak daleko znajomość posunąłeś?...

— Jak może tylko kochanek... z Gertrudą wszystko jest względne. Jestem uszczęśliwiony, że mogę działać w interesie pana hrabiego.

— Może się czego domyśla?...

— Bynajmniej; nawet nie mówiłem o panu. Alboż biedny Remy le Haudouin, zna takich panów, jak hrabia de Bussy? Badałem ją w sposób obojętny:

— Czy wasz młody pan zdrowszy?...



— Jaki młody pan?...  
— Ten, którego u was opatrywałem.  
— To wcale nie mój pan!  
— Leżał na łóżku twojej pani, sądziłem...  
— Ach!... ten młody człowiek, on nie jest żadnym pani krewnym i tylko raz potem był w naszym domu.

— I nie znacie nawet jego nazwiska?  
— Takiego nazwiska nie zapomina się...  
— Jak się nazywa?...  
— Nie słyszałeś kiedy o panu de Bussy?  
— Co u licha! — Bussy, waleczny Bussy!?  
— Ten sam, pewnie ten sam.  
— Zapewne twoja pani?...  
— Jest zameżna...

— Zameżna i pewnie cnotliwa małżonka, jednak myśli niekiedy o owym młodzieńcu, osobliwie dlatego, że był ranny, interesujący i spoczywał na jej łóżku.

— Mówiąc szczerze, moja pani myśli o nim niekiedy.

Żywy rumieniec wystąpił na twarz Bussego.

— Mówimy o nim niekiedy — dodała Gertruda — osobliwie gdy jesteśmy same.

— Wspaniała dziewczyna! — zawołał hrabia.

— Cóż mówicie o nim? — zapytałem.

— Opowiadam pani, jak jest waleczny; mówi o tem cały Paryż. Nawet nauczyłam panią piosneczkę, która bardzo jest w modzie:

Kto szuka przygody?  
To d'Amboise młody.  
Kto czuły i wierny?  
Ach! to Bussy dzielny.

Moja pani ustawicznie ją śpiewa.

Bussy uściskał rękę lekarza.

— Wszystko? — zapytał Bussy — człowiek w żądzach jest nienasycony.

— Panie hrabio, wszystkiego się dowiem; ale trudno wymagać więcej w ciągu dnia, lub raczej w ciągu jednej nocy.

## ROZDZIAŁ XII.

### OJCIEC I CÓRKA

Opowiadanie lekarza uszczęśliwiło Bussego, albowiem dowiedział się, że pan de Monsoreau niechętnie jest widziany.

Przychylność młodego Remy uradowała go.

Bussy pojmował, że niema chwili do stracenia.

Tak straszne są cierpienia ojca, oplakującego śmierć dziecięcia, że godzien jest przekleństwa ten, kto może go pocieszyć, a odwleka pociechę.

Schodząc na dziedziniec, pan de Meridor zastał konia, którego dlań Bussy kazał przygotować.

Drugi koń czekał na Bussego.

Wsiadli i udali się w drogę w towarzystwie młodego lekarza.

Przybyli na ulicę Ś-go Antoniego. Pan de Meridor, który od dwudziestu lat nie był w Paryżu, znalazł stolicę bardzo zmienioną.

Pomimo podziwu, w miarę zbliżania się do celu podróży, baron był coraz smutniejszy.

Jak księżę go przyjmie? jaką boleść zgotuje mu?

Spoglądał na Bussego i zapytał, dlaczego na oślep idzie za człowiekiem nieznanym, należącym do księcia, sprawcy wszystkich cierpień.

Czyż nie stosowniej byłoby lekceważyć księcia,

udać się wprost do Luwru i rzucić się do nóg królowi?

Co księżę może powiedzieć? jaką przynieść pociechę?

Bussy, jak zdolny wódz, kazał lekarzowi jechać naprzód i zbadać sytuację.

Remy powrócił z doniesieniem, że droga do pani de Monsoreau jest zupełnie bezpieczna.

Baron tymczasem patrzył zdumiony.

— To tu — mówił do siebie — mieszka księżę Andegaweński?

— Nie zupełnie — odrzekł Bussy — w każdym razie tu przebywa jego ukochana.

Czoło starca zachmurzyło się.

Skromna bowiem powierzchowność domu natchnęła go pewną nieufnością.

— Panie — rzekł zatrzymując konia — my wieśniacy zupełnie inaczej żyjemy, lekkie paryskie obyczaje rażą nas i nie możemy pojąć waszych tajemnic. Sądzę, że jeżeli księżę chce się widzieć ze mną, może przyjąć mię w swoim pałacu, a nie w mieszkaniu kochanki. Wkońcu skoro jesteś uczciwym człowiekiem, dlaczego wiedziesz mię do podobnej kobiety? Chyba dlatego, aby mię przekonać, że moja Diana żyłaby jeszcze, gdyby przełożyła hańbę nad zgon.

— Cierpliwości, — rzekł Bussy z uśmiechem, — nie należy uprzedzać się. Kobieta, którą masz ujrzyć, jest cnotliwą i godną poszanowania.

— Co to za jedna?

— Jest to... jest to żona jednego z twoich znajomych.

— Czy tak?... a mówiłeś, że księżę ją kochał?

— Zawsze mówię prawdę, panie baronie; wejdz, a przekonasz się o wszystkim.

— Pamiętaj, że kiedyś opłakiwałem moje dziecko, mówiłeś: „Pociesz się baronie, nieskończone jest boskie miłosierdzie”; mnie zaś obiecywać pociechę, jest to przyrzekać cud.

— Wejdz pan — powtórzył Bussy z tym samym uśmiechem.

Baron zsiadł z konia.

Gertruda wybiegła do bramy i patrzyła zdumionemi oczyma na lekarza, Bussego, i na starca; nie mogła pojąć jakim cudem wszyscy trzej zeszli się razem.

— Zawiadom panią de Monsoreau — rzekł hrabia, że Bussy wrócił i pragnie z nią mówić. Ale na Boga — dodał cicho — nie mów kto jest ze mną.

— Pani de Monsoreau! — rzekł starzec zdumiony — pani de Monsoreau!

— Proszę, panie baronie.

Starzec wstępował na schody krokiem niepewnym, a wtem dał się słyszeć głos Diany.

— Pan de Bussy, Gertrudo, prosz.

— Ten głos! — zawołał baron, zatrzymując się — ten głos! A! mój Boże! mój Boże!

— Wejdz, baronie — rzekł Bussy.

W tej chwili, na schodach, w pełnym świetle, ukazała się Diana, piękniejsza niż kiedykolwiek, nawet uśmiechająca się, chociaż nie wiedziała, że ujrzy ojca.

Na ten widok, baron wydał krzyk i wzniosłszy ręce, stał osłupiały, z oczyma obłąkanemi, tak że Diana stanęła również strwożona.

— Diana żyje! Diana! moja Diana, o której mówiono, że umarła!

I silny wojownik, stary dąb, którym śmierć Diany zachwiała tylko, ów szermierz, mężnie walczący

z boleścią, pod ciężarem radości zadrżał i byłby upadł, gdyby go był Bussy nie wstrzymał.

— Mój Boże, panie Bussy — zawołała Diana co się stało ojcu?

— Baron de Meridor sądził, że pani umarła.

— Jakto! — zawołała Diana — i nikt go nie wywiódł z błędu?

— Nikt.

— Tak, nikt, nikt, — zawołał starzec, odzyskując zmysły — nikt, nawet pan de Bussy.

— Niewdzięczni! — rzekł Bussy z wyrazem słodkiego wyrzutu.

— Tak — odpowiedział baron — masz słusność hrabio, ta chwila wynagradza wszystko.

Nagle, wznosząc głowę, jakby bolesna myśl zakrwawiła mu serce, zawołał:

— Panie de Bussy, miałeś mi pokazać panią de Monsoreau; gdzież ona jest?

— Niestety?... ojczy — odezwała się Diana.

Bussy zebrał siły i rzekł:

— Masz ją pan przed sobą, hrabia de Monsoreau jest twoim zięciem.

— Jakto! — jękał starzec — pan Monsoreau moim zięciem i nikt, nawet ty sama Diana nie doniosłaś mi o tem!

— Lękałam się pisać do ciebie, ojczy, aby list nie wpadł w ręce księcia, myślałam, że wiesz o wszystkim.

— Na cóż te wszystkie tajemnice!

— A! tak, tak, ojczy — zawołała Diana — dlaczego pan de Monsoreau śmierć moją rozgłosił? dlaczego ukrywał, że jest moim mężem?

Baron drżący, jakby zajrzał w głębię przepaści, iskrzącymi oczyma badał twarz córki i pomieszane spojrzenie Bussego.

Zwolna, wszyscy weszli do salonu.

— Pan de Monsoreau moim zięciem!... — powtarzał zdumiony baron.

— Cóż cię tak dziwi, ojcie — odrzekła Diana tonem wyrzutu — wszak mi rozkazałeś go zaślubić?

— Tak, jeżeli cię ocali.

— Ocalił mię — rzekła półgłosem Diana, padając na klęcznik, nie od nieszczęścia ale przynajmniej od hańby.

— Dlaczegoż mi donosił o twojej śmierci? mnie, który tyle wycierpiałem?... — powtarzał starzec.

— Dlaczego kazał mi umierać z rozpaczy, skoro jeden wyraz mógł mi powrócić życie.

— Niestety! pani — rzekł hrabia, kłaniając się — nie wolno mi badać tajemnic rodzinnych. Widząc dziwne postępowanie twojego męża, uważałem za swój obowiązek wyszukać ci obrońcy. Tym obrońcą jest twój ojciec, a teraz pozwól, że się oddalę.

— Prawda — odezwał się smutnie starzec — pan de Monsoreau lękał się księcia, a teraz znowu pan Bussy się go obawia.

Diana rzuciła na młodzieńca spojrzenie, które znaczyło:

— Ty, którego nazywają walecznym, miałebyś lękać się księcia, jak pan de Monsoreau?

Bussy zrozumiał to i uśmiechnął się.

— Panie baronie — rzekł — przebacz mi prośbę, a ty, pani, ze względu na moje dobre chęci, miej mię za usprawiedliwionego.

Wszyscy spojrzeli po sobie.

— Panie baronie — odezwał się Bussy — zapytaj pani de Monsoreau...

Ostatni wyraz wymówił dobitnie, a Diana zbladła.

Bussy spostrzegł to i odmienił zdanie.

— Zapytaj twojej córki, czy jest zadowolona ze związku, który jej zaleciłeś, i na który sama zezwoliła.

Diana załamała ręce i łkać poczęła.

Żadna odpowiedź nie mogła być wyraźniejszą.

Oczy starego barona napełniły się łzami, poznał, że zanadto porywcza przychyłność jego dla pana de Monsoreau, zgotowała córce nieszczęście.

— Teraz — mówił Bussy — powiedz baronie, czy bez podstępów i gwałtu oddałbyś dobrowolnie rękę córki panu de Monsoreau?

— Tak, jeżeliby ją ocalił.

— Ocalił ją. Kiedy tak nie powinienem pytać, czy dotrzymasz słowa?

— Dotrzymać słowa jest obowiązkiem każdego szlachcica i sam to hrabio czujesz. Pan de Monsoreau ocalił życie mojej córki, ona więc do niego należy.

— A!... — mówiła Diana — czemużem nie umarła!

— Pani — przerwał Bussy — miałem słuszną przemyślenie, że nie mam tu nic do czynienia. Baron przeznacza cię panu de Monsoreau; a ty sama zezwoliłaś na to, pod warunkiem, że ujrzysz ojca.

— A! nie rozdieraj mi pan serca — zawołała pani de Monsoreau zbliżając się do hrabiego — mój ojciec nie wie, że ja lękam się tego człowieka; nie wie, że ja go nienawidzę; mój ojciec chce w nim widzieć mojego obrońcę, a ja w nim przeczuwam kata.

— Diano, Diano — mówił baron — on ciebie ocalił.

— Tak — wykrzyknął Bussy — przestępując granice, w których go delikatność do tej chwili utrzymywała; — tak, lecz jeżeli niebezpieczeństwo mniej-

sze było, jak sądzisz, jeżeli niebezpieczeństwo było zmyślane? Baronie, jest w tem wszystkim tajemnica, którą pewnie wyjaśnię. Biorę Boga na świadka, że gdybym był na miejscu pana de Monsoreau, gdybym ocalił twoją niewinną córkę, nie żądałbym tak drogiego okupu.

— On ją kochał — odpowiedział pan de Meridor, a zakochanym wiele wybaczyć należy.

— A ja!... — zawołał Bussy.

Zmieszany mimowolnem zapomnieniem się, Bussy wymownem spojrzeniem tylko zakończył zdanie.

Diana pojęła je może lepiej niż gdyby je wypowiedział w całości.

— A więc — rzekła rumieniać się — pan mię pojąłeś, nieprawdaż. Tak więc, mój przyjacielu, mój bracie, wszak tych dwóch tytułów żądałeś ode mnie powiedz mi, co możesz dla mnie uczynić?

— Ale ksiązę Andegaweński — mówił starzec lękający się piorunu, który mógł wypaść z dłoni jego książecej mości.

— Nie jestem z liczby tych, którzy się lękają gniewu książąt — odparł młodzieniec — albo jestem w błędzie, albo daremną jest twoja trwoga. Baronie, pojednam cię z księciem, który cię będzie bronił przeciwko panu de Monsoreau, sprawcy wszystkiego złego.

— Lecz skoro ksiązę się dowie, że Diana żyje, wszystko stracone — zrobił uwagę starzec.

— Widzę — rzekł Bussy — że cokolwiek powiem, pan baron zawsze przekłada pana de Monsoreau. Nie mówmy więcej o tem, odrzuć pan moją ofiarę i odrzuć pomoc, jaką ci przynieść chciałem, a rzuć się w objęcia człowieka, który zasługuje na twoje zaufanie. Wypełniłem moją powinność, i nic więcej nie mam tu do czynienia. Żegnaj pana, bądź zdrowa pani, odchodzę nie ujrysz mię już więcej.



— A!... — wykrzyknęła Diana, chwytając młodzieńca za rękę — czyś pan widział moje zachowanie? czyś widział moją chęć należenia do niego? Błagam cię na kolanach, nie opuszczaj mię!...

Bussy uściśnął piękną rękę Diany i cały jego gniew przemiął, jak topnieje śnieg na szczycie góry, od promieni słońca wiosennego.

— Skoro taka wola twoja, pani — rzekł, — przyjmuję posłannictwo i za trzy dni, bo prędzej niepodobna, albowiem książę jest w Chartres, na polowaniu z królem, ujrysz mię znowu, albo niegodnym będę nazwiska, jakie noszę.

A zbliżając się do Diany, rzekł cicho, patrząc na nią płomiennie:

— Zatem wspólnie działamy przeciwko panu de Monsoreau; pamiętaj, że nie on powrócił cię ojcu i że nie jesteś obowiązana dotrzymywać słowa.

Uściśnąwszy raz jeszcze rękę barona, wybiegł z pokoju.

## ROZDZIAŁ XIII.

### JAK PRZEBUDZIŁ SIĘ BRAT GORENFLOT, I JAK GO PRZYJĘTO W KLASZTORZE

Zostawiliśmy Chicota przy chrapiącym Gorenflocie; dał znak obrzyście, aby się oddalił, wprzód mu jednak zalecił, ażeby nie wspominał braciszce, że towarzysz jego wychodził o dziesiątej wieczór, a wrócił dopiero o trzeciej rano.

Ponieważ pan Bonhommet zauważył tę ważną okoliczność, że zwykle mnich je i pije, a błazen płaci, poważał wielce błazna, mnicha zaś mało cenił.

Stąd Chicot mógł być pewnym, że oberżysta ust nie otworzy.

Gorenflot chrapał okropnie i mówił przez sen.  
— Bracia moi! jaki straszny wiatr, to gniew Boży!

I znów chrapał.

Chicot zaczął przebierać mnicha.

— Brr! brr! a to zimno! Nieszczęście, winne grona nie dojrzeją tego roku.

Chicot przerwał i czekał.

— Bracia, znacie moją gorliwość — mówił mnich — znacie moje przywiązanie do kościoła i do księcia de Guise.

— A! hultaj!... — rzekł Chicot.

— To moje zdanie — odezwał się Gorenflot, ale to pewna...

— Co pewna?... — zapytał Chicot, podnosząc mnicha, aby na niego wdziąć suknię.

— To pewna, że człowiek mocniejszy niż wino; brat Gorenflot walczył z winem, jak Jakób z aniołem i pokonał wino.

Chicot wznosił ramiona.

Poruszenie to spowodowało, że mnich otworzył jedno oko i ujrzał uśmiech Chicota.

— A! upiór!... — zawołał i zakrył twarz.

— A! pijaczyna! — rzekł Chicot, kończąc wdziwanie habitu.

— Szczęściem — mrucał mnich — zakrystjan zamknął drzwi od chóru i wiatr ustał.

— Śpij, albo nie — mówił Chicot — teraz mi wszystko jedno.

— Pan wysłuchał modlitwę moją — mrucał mnich — i wiatr z północy, zmienił się w południowy.

— Amen — zakończył Chicot.

I zwinąwszy obrus i serwety na poduszkę, a nawet podłożywszy pod głowę talerze, usnął.

Biały dzień i chrapliwy głos gospodarza łajzące-

go kuchcików ledwie zdołały przebić mgłę snu, jaka otaczała umysł Gorenflota.

Zaledwie zdołał podnieść się i usiąść na ziemi.

Następnie, zaczął patrzeć na porozrzucane nakrycie i na Chicota, który zasłoniwszy twarz rękami, przez palce widział każde poruszenie mnicha.

Chicot udawał, że chrapie.

— Dzień biały!... — zawołał mnich — do licha widzę, że noc tu spędziłem.

Później, zbierając myśli, mówił:

— A opactwo! o! mój Boże!

I zaczął zawiązywać sznury sukni.

— Szczególnie — mówił — śniło mi się, że umarłem i że mnie obwinęto w skrwawioną suknię.

Gorenflot nie ze wszystkim się mylił, bo przez sen owinął się białym obrusem, który był poplamiony czerwonym winem.

— Szczęście, że to tylko sen — mówi, spoglądając wokoło.

Naraz oczy mnicha spoczęły na Chicocie, który, widząc to, mocniej jeszcze chrapał.

— O! jak to dobrze tak spać — mówił Gorenflot patrząc z podziwem na Chicota. A! czemuż on nie jest w mojem położeniu! I westchnął tak ciężko, że byłby obudził błazna, gdyby ten spał naprawdę.

— Gdybym go obudził, możeby mi poradził.

Chicot począł chrapać jeszcze mocniej.

— Nie — rzekł Gorenflot — to by mu dało wyższość nade mną. Ja i bez niego skłamać potrafię. Lecz jakkolwiek skłamię, trudno kary uniknąć: fraszka kara, ale post o chlebie i wodzie. Gdybym miał przynajmniej cokolwiek pieniędzy.

Słyszając to Chicot, wyjął nabita kieskę i schował za koszulę na piersiach.

Ostrożność ta była potrzebną, albowiem Gorenflot zbliżył się do przyjaciela szepcząc melancholijnie:

— Gdyby nie spał, nie mógłby mi odmówić talaria; ale że szanuję jego sen... muszę wziąć sam.

To mówiąc, ukląkł, schylił się ku Chicotowi i zaczął lekko macać po kieszeniach ubrania.

— Szczególne — rzekł — nic niema w kieszeniach. A! może ma w kapeluszu?

Kiedy mnich szukał kapeusza, Chicot wypróżnił kieskę i pustą wrzucił w jedną z kieszeni płaszcz.

— I w kapeluszu nic niema; to dziwne, bo Chicot, chociaż trefniś, ma rozum i nigdy bez pieniędzy nie wychodzi na miasto. A! stary Gallu — dodał z uśmiechem, — zapomniałem o twojem kraciastem okryciu!

I wsunął rękę, lecz wyciągnął tylko pustą kieskę.

— Jezus!... — wykrzyknął — a bankiet kto zapłaci?

Ta myśl wielkie na mnichu zrobiła wrażenie, bo natychmiast powstał i chociaż ciężkim ale śpiesznym krokiem skierował się ku drzwiom, przeszedł kuchnię, nie rzekłszy słowa do gospodarza, i wymknął się na ulicę.

Chicot włożył w kieskę pieniądze, schował ją do kieszeni i oparty na oknie, w które zaglądał promień słońca, zadumany, zapomniał o Gorenflocie.

Brat kwestarz z sakwami na plecach, szedł z bardzo układną minką, którą przechodzący za pobożność wziąć mogli; nie myślał przecież o modlitwie, ale szukał jednego z owych kłamstw, któremi osłania się żołnierz niedbały, a których dostarcza mu mniej lub więcej płodna imaginacja.

Gdy ujrzał zdaleka bramę klasztorną, wydała mu się więcej jeszcze ponurą, niż zwykle; nadto w progu dostrzegł mnichów, patrzących niespokojnie na wszystkie cztery strony świata.

Ruch, jaki powstał pomiędzy zakonnikami, w

chwili gdy go ujrzeli, nabawiał biedaka strachu nadzwyczajnego.

— To o mnie mówią — myślał — czekają na mnie i myślą nad karą, na jaką za niedbalstwo zasłużyłem. Jestem zgubiony!

Nagle dziwna myśl przyszła mu do głowy, chciał uciekać; ale zakonnicy wyszli naprzeciw niego, poddał się zatem przeznaczeniu i postępował dalej.

Nakoniec jeden z zakonników ośmielił się odezwać:

— Biedny bracie!

Corenilot westchnął i wznosił oczy w górę.

— Czy wiesz, że przeor czeka na ciebie — mówił drugi.

— Mój Boże — dodał trzeci — rozkazał abys, gdy powrócisz, natychmiast poszedł do niego.

— Otóż tego się lękałem — rzekł Gorenflot.

I nawpół umarły, wszedł do klasztoru.

— To ty?... — zawołał brat furtjan, — prędzej, wielbny przeor Józef Foulon pytał o ciebie.

I wzięwszy Gorenflota za rękę, ciągnął go do mieszkania przeora.

— A! to ty. — Narobiłeś nam niepokoju!... — rzekł przeor.

— Nadto dobroci mój ojciec — odparł Gorenflot, nie pojmując łagodnego tonu przeora.

— Potem lękałeś się wejść, prawda?...

— Przyznaję, że wejść nie śmiałem — odpowiedział mnich.

— Bracie — za gorąco i nieroztropnie postąpiłeś.

— Pozwól, mój ojciec, usprawiedliwić się.

— Niema potrzeby. Twoja wycieczka....

— Niema potrzeby — pomyślał Gorenflot — tem lepiej, sam nie wiedziałem co mówić.

— Pojmuję doskonale — mówi opat. — Chwila szału i zapału uniosła cię za daleko, zapał jest

świętą cnotą i uniesienie również, ale wiesz, że cnoty przesadne są przestępstwem.

— Przebacz, ojcze — rzekł Gorenflot — racz mi powiedzieć, o jakiej wycieczce mówiłeś.

— O twej wycieczce dzisiejszej nocy.

— Poza klasztor?...

— Nie, w klasztorze.

— W klasztorze... ja?...

— Tak ty.

Gorenflot podrapał się w nos nic nie pojmując.

— Jestem dobrym duchownym — mówił przeor — ale twoja śmiałość zatrwożyła mię.

— Moja śmiałość? — więc byłem śmiały?

— Raczej nierozsądny.

— Niestety!... trzeba niekiedy przebaczać mi temperament; poprawię się mój ojcze.

— Tak, ale tymczasem nie mogę być spokojny o nas i o ciebie. Gdyby to jeszcze było między swoimi, to nic.

— Jakto! — więc to było w świecie?...

— Między naszymi byli świeccy, którzy i jednego wyrazu z twojej mowy nie zapomnieli.

— Z mojej mowy?....

— Przyznaję, że była piękna, oklaski mogły cię upoić, zapał ogólny mógł ci zawrócić głowę, lecz kiedy idzie o tak ważną sprawę sam przyznasz, za wiele było powiedziane.

Gorenflot spojrział na przeora oczyma, w których zajaśniał wyraz podziwienia.

— W naszych czasach — mówił przeor — trzeba umieć wszystko pogodzić. Religijny zapał zaszkodzić ci może w Paryżu, gdzie jest tyle złośliwych. Życzyłbym ci schronić się przed nimi.

— Gdzie? — zapytał Gorenflot, pewny, że czeka go koza.

— Na prowincję.

— Wygnanie!

— Pozostając tutaj możesz doczekać się czegoś gorszego.

— I cóż mi się może przytrafić?...

— Proces kryminalny, zakończony dożywotniem więzieniem, jeżeli nie śmiercią.

Gorenflot zbladł strasznie, nie pojmował jak mógł zasłużyć na więzienie, a tembardziej na śmierć, za nadużycie w trunkach i za nocowanie poza klasztorrem.

— Poddając się chwilowemu wygnaniu, nie tylko unikniesz niebezpieczeństwa, ale nadto rozwiniiesz skrzydła na prowincji; to co mówiłeś, niebezpiecznem jest pod bokiem króla; lecz na prowincji jest łatwem do wykonania. Wyjeżdżaj jak najprędzej, bo może być zapóźno, a kto wie, czy łucznicy nie otrzymali już rozkazu uwięzienia cię.

— Co, wielobny ojcze?... — wyjąkał mnich trwożnie, albowiem nie pojmując, o co chodzi, nie mógł zważyć wielkości swej winy — łucznicy!... i cóż ja uczyniłem łucznikom?

— Ty z nimi nie miałeś do czynienia, ale oni mogą mieć z tobą...

Alboż mnie oskarżono?

— Ale cię mogą oskarżyć. Wyjeżdżaj, wyjeżdżaj bracie!...

— Wyjechać? Łatwo to mówić, ale z czego będę żył?

— Nic łatwiejszego. Jesteś kwestarzem zakonu. Z kwesty żywiłeś dawniej innych, teraz karm siebie. Bądź spokojny; system jaki rozwinąłeś, zyska na prowincji wielu stronników, i jestem pewny, że na niczem ci zbywać nie będzie. Ale oddal się prędzej i nie wracaj, aż cię uprzedzimy, że możesz być bezpieczny.

Przeor czule uściskawszy brata Gorenflot, po-

pchnął go zlekka, ale tak, że wyleciał za drzwi jego celi.

Tam czekało brata Gorenflot całe zgromadzenie.

Zaledwie się ukazał, wszyscy poskoczyli ku niemu, pragnąc dotknąć chociaż kraju szaty jego.

— Żegnaj cię!... — rzekł jeden z zakonników, czule go przyciskając do serca — kochaj mię i nie zapominaj w twoich modlitwach.

— Ba! otóż masz! — odrzekł Gorenflot.

— Bądź zdrow!... — mówił inny ściskając mu rękę — bądź zdrow, szermierzu za wiarę; Godfryd de Bouillon byłby niczem przy tobie.

— Bądź zdrow! — rzekł trzeci, całując koniec jego ogórków — zaślepienie jest jeszcze między nami, ale niebawem rozjaśni się ciemności.

Wśród uniesień i pochwał, wyniesiono Gorenflota za bramę klasztorną, którą natymiasz za nim zamknięto.

Patrzył na nią z wyrazem trudnym do opisania, wkońcu, tyłem postępując, wychodził z Paryża, jak by anioł mściciel pokazał mu miecz gorejący.

Jedno tylko zdanie wymknęło mu się z ust:

— Powarjowali, czy co?... A jeżeli nie oni, to chyba ja!

## ROZDZIAŁ XIV.

JAK BRAT GORENFLOT WMÓWIŁ W SIEBIE,  
ŻE JEST LUNATYKIEM I JAK TĘ SŁABOŚĆ  
OPLAKIWAŁ

Do dnia, w którym na biednego mnicha spadło nieszczęście, brat Gorenflot wiódł życie bardzo przykładne. Wychodził z klasztoru raniutko, jeżeli chciał odetchnąć świeżem powietrzem; późno, gdy pragnął ogrzać się na słońcu, zawsze przecież polecał siebie



Bogu i kuchni klasztornej i oszczędził część miasta, wstępował pod „Róg obfitości” gdzie jałmużnę dawało mu w naturze. Tam powetował sobie skromność stołu i piwnicy klasztornej.

Do najlepszych przyjaciół zaliczał Chicota, z którym nieraz zjadł dobrą wieczerzę.

Lecz Chicot nie pędził regularnego żywota.

Zdarzało się, że mnich widywał go codzień, to znowu minał miesiąc, a nawet i sześć tygodni, a Chicota ludzkie oko nie oglądało, a to z powodu nabożeństwa z królem, postu, procesji, podróży, a często fantastycznych wycieczek trefnisia.

Gorenflot był jednym z tych zakonników, dla których dzień zaczynał się w klasztorze, kończył zaś w kuchni. Nigdy nie przypuszczał, aby mu potrzeba było pracować na chleb i szukać przygód.

Gdyby przynajmniej miał pieniądze; lecz odpowiedź przeora była prosta:

„Szukaj a znajdziesz”.

Gorenflot czuł się strudzonym jeszcze przed zaczęciem poszukiwań.

Jednakże, najważniejszą rzeczą było, uniknąć niebezpieczeństwa zupełnie mu nieznanego, ale straszego, według słów przeora.

Nie był na tyle sprytnym, aby zmienić swą postać przebraniem się; postanowił więc puścić się przebojem; przeszedł przez bramę Bordelle, zachowując wszelkie ostrożności, aby łucznicy, albo szwajcarzy nie zwrócili na niego uwagi.

Skoro dostał się na otwarte pole, zielone pierwszą wiosenną trawką, kiedy promienne słońce wzniosło się nad nim, a cisza i spokój otoczyły go wokół, usiadł przy drodze, podbródek oparł na tłustej dłoni, podrapał się po nosie i zaczął dumać, a dumając wzdychać.

Wzdychał zaś tem żałośniej, że dochodziła dziewiąta rano, o której zwykle jadano w klasztorze.

Pierwszym pomysłem było, aby wrócić do Paryża, iść prosto do klasztoru i oświadczyć, że przekłada więzienie nad wygnanie, nawet przyjmie karę dyscypliny, byle mu jeść dawano.

Gdy odrzucił tę myśl, przyszła mu nowa, bardziej roztropna: chciał udać się pod „Róg obfitości” poszukać tam Chicota, a znalazłszy go, przedłożył mu okropne swoje położenie, będące skutkiem uczy, jakiej oprzeć się nie miał siły i żądać od wspaniałego przyjaciela stałej pensji.

Pomysł ten zajął mu przeszło kwadrans, bo Gorenflot miał umysł spekulacyjny i myśl każdą rozważał gruntownie.

Nakoniec zajęła go nowa, a śmiała idea; wróci do Paryża przez bramę Ś-go Germana, albo więź Nesle i zacznie kwestować na swój rachunek.

Znał dobre miejsca, małe uliczki, gdzie pobożne kumy piekły mu ongi kurczęta i czekały z niemi na przybycie kwestrza; miał w pamięci wspomnienia o innych pobożnych domach, gdzie smażono dla niego konfitury i temi za kapłańskie błogosławieństwo darzono.

Ostatni pomysł bardzo mu się podobał, stan kwestarza zdawał mu się przyrodzonym i czuł, że do niego jest stworzony; lecz aby pędzić podobne życie, potrzeba było narazić się łucznikom i władzom duchownym.

Prócz tego groziło nowe niebezpieczeństwo kanafarz klasztoru Ś-tej Genowefy, jako człowiek przeczorny, musiał wysłać innego kwestarza, z którym spotkanie niebardzo byłoby przyjemne.

Na tę myśl zadrzał Gorenflot...

Właśnie walczył z myślami i licznymi monologami przerywał ciszę, gdy nagle ujrzał jeźdźca, zbliżającego się od bramy Bordelle.

Mężczyzna zsiadł z konia przed domem odległym o jakie pięćset kroków, zapukał, otworzono mu i jeździec i koń zniknęli.

Gorenflot dobrze to wszystko zauważył, bo pozadrościł jeźdźcowi konia, którego mógł sprzedać.

Za chwilę jeździec ukazał się, że zaś blisko były drzewa i stos kamieni, znowu zniknął przed oczyma mnicha.

W tej chwili, i jeździec ujrzał Gorenflota siedzącego nad rowem z opartym na dłoni podbródkiem.

— Zdaje mi się, że znam tę figurę — rzekł Gorenflot — tak, podobny, ale to być nie może...

Nieznajomy odwrócił się od mnicha, usłyszał bowiem tętent koni od bramy miejskiej. Trzech mężczyzn, z których dwaj zdawali się lokajami, i trzy muły obciążone, z wolna wysunęli się z bramy Bordelle.

Nieznajomy jak tylko ich spostrzegł, chyłkiem schronił się za kamienie.

Orszak przeszedł nie widząc go, nieznajomy zaś pożerał go oczyma.

— To ja przeszkodziłem spełnieniu zbrodni — rzekł Gorenflot do siebie — moja więc obecność w tem miejscu jest widocznym zrządzeniem Opatrzności, która niezasłużenie odmawia mi śniadania.

Gdy orszak przejechał, nieznajomy wrócił do domu.

— Wybornie — rzekł Gorenflot. — Kto czatuje, nie lubi ażeby go widziano; posiadam tajemnicę, za którą muszą mi zapłacić; trzeba tylko cenę ustawić.

Bez straty czasu skierował się ku domowi; zbliżając się przypominał sobie rycerską postać niezna-

jomego, długi jego miecz i spojrzenie, jakim pożerał przejeżdżających. Pomyślał:

— Zapewne się myliłem; takiego człowieka nie można zastraszyć.

Przy drzwiach stracił odwagę i podrapał się nie w nos ale za uchem.

Nagle, twarz jego zajaśniała.

— Dobra myśl — szepnął. Dobra myśl — i doccipna. Powiem mu: Mój panie, każdy człowiek ma swoje zamiary i nadzieje, ja będę się modlił, aby ci się powiodły; a że ma złe zamiary, o czym nie wątpię, tem więcej potrzebuje modlitwy i dlatego jałmużną opatrzy. Jeśli spotkam uczonego, zapytam, czy mam się modlić o spełnienie nieznanych mi zamiarów, osobliwie, że mam podejrzenie ich niegodziwości. Uczynię, co uczony przykaże. Tym sposobem za nic nie będę odpowiedzialnym. Gdybym zaś uczonego nie spotkał, nie będę się modlił, a za jałmużnę zjem śniadanie.

W pięć minut drzwi się otwały i jeździec ukazał się znowu.

Gorenflot zbliżył się do niego.

— Panie — rzekł — jeżeli pięć „Ojczy nasz” i pięć „Zdrowaś” mogą się przydać...

Jeździec zwrócił się do Gorenflota.

— Gorenflot! — zawołał.

— Pan Chicot!... — wykrzyknął mnich.

— Do djabła! gdzie idziesz, — zapytał Chicot.

— Ja sam nie wiem, a ty?

— Ja co innego, wiem gdzie jadę; prosto przed siebie.

— Daleko?

— Tam gdzie stanę. Ale ty skoro nie chcesz powiedzieć gdzie idziesz, budzisz we mnie podejrzenie.

— Jakie?

— Że mię szpiegujesz.

— Jezus Marja! jabym ciebie miał szpiegować?  
Widziałem, jakeś patrzył na przejeżdżających.

— Oszalałeś.

— Za temi kamieniami.

— Słuchaj Gorenflot, chciałbym sobie za miastem domek wystawić i oglądałem kamienie.

— To co innego — odrzekł mnich nie pojmujący kłamstwa — jak widzę, byłem w błędzie.

— Ale co ty robisz za miastem?

— Jestem wygnany — odpowiedział Gorenflot z ciężkiem westchnieniem.

— Co?

— Wygnany, powtarzam ci.

Gorenflot wyprostował się i wznosił głowę do góry, z wyrazem człowieka, który jest dotknięty wielkiem nieszczęściem i zasługuje na litość.

— Bracia — rzekł — odepchnęli mnie od swego łona, jestem wygnany i wyklęty.

— A to zaco?

— Panie Chicot — wierz albo nie, ale słowo Gorenflota, nie wiem zaco.

— Możeś miał sny nieczyste?

— Żartuj sobie dowoli — odrzekł Gorenflot — wiesz ty dobrze, co ja wczoraj robiłem.

— Od ósmej do dziesiątej; ale od dziesiątej do trzeciej.....

— Jakto! od dziesiątej do trzeciej?

— Tak, bo o dziesiątej wyszedłeś.

— Ja? — zapytał Gorenflot spoglądając na trefnisia obłąkanemi oczyma.

Nawet pytałem ciebie, gdzie idziesz?

— Pytałeś mnie gdzie idę? I cóż ci odpowiedziałem?

— Że masz mieć mowę.

— To prawda, miałem mieć mowę.

— Chciałem ją słyszeć; ale tylko część mi jej powiedziałeś.

— Była w trzech częściach, jak zaleca Arystoteles.

— Straszne rzeczy były w tej mowie przeciw Henrykowi III-ciemu.

— Ba! — odrzekł Gorenflot.

— Tak straszne, że sądziłem, iż cię uwiężą.

— Chicot!... — ty mi oczy otwierasz; czy ja byłem zupełnie rozbudzony?...

— Wydałeś mi się dziwnym; twój wzrok był oślepiały, rzekłby kto, że śpisz i mówisz przez sen.

— Jednak obudziłem się pod „Rogiem obfitości“.

— Cóż w tem dziwnego?...

— Jaktol!... mówisz, że stamtąd wyszedłem o dziesiątej?....

— Ale powróciłeś o trzeciej i na dowód powiem ci, żeś zostawił drzwi otwarte i zimno mi było.

— I ja pamiętam, że było mi zimno.

— A widzisz?... — rzekł Chicot.

— Jeżeli to prawda, co mówisz...

— Czy prawda?... — zapytaj pana Bonhommet.

— Pana Bonhommet?

— Bo on ci drzwi otwierał. Nawet powróciwszy, sapałeś z dumy, aż ci mówiłem: fe!... duma szpeci człowieka, a jeszcze, gdy kto jest zakonnikiem!

— Z czegoż miałem być dumny?...

— Z pochwał, udzielonych ci z powodu twej mowy przez księcia de Guise i pana de Mayenne, któremu niech Bóg szczęści — dodał gaskończyk, uchylając kapelusza.

— Teraz rozumiem.

— A widzisz?... przyznajesz, że byłeś na zgromadzeniu?... jak je tam nazywacie u djabła?... Na zgromadzeniu „Świętej Jedności“.

Gorenflot opuścił głowę i westchnął.

— Jestem lunatykiem — rzekł — a nie wiedziałem o tem.

— Lunatykiem!... co to znaczy?...

— To znaczy, — odpowiedział mnich — że u mnie duch panuje nad materją do tego stopnia, iż kiedy ciało śpi, duch działa.

— Powiedz mi szczerze, czyś ty nie opętany?... Kto śpi i chodzi, mówi, gestykuje, ma mowy w zgromadzeniu, to coś nienaturalnego. „Vade, retro satanas“.

I Chicot cofnął się z koniem.

— I ty mię opuszczasz — zawołał Gorenflot. — „Et tu Brute?...“ tegom się nigdy po tobie nie spodziewał!

Chicot ulitował się nad tą straszną rozpaczą.

— Coś mówił?... — rzekł.

— Kiedy?...

— Teraz.

Nie wiem; o mało nie zwarzuję, bo głowę mam pełną a żołądek pusty.

— Mówiłeś, że masz iść w drogę?...

— Prawda, tak mi przecor zalecił.

— W którą stronę?.... — zapytał Chicot.

— Gdzie mi się podoba! — odpowiedział.

— I idziesz?....

— Ja nie wiem.

Gorenflot wznosił ręce w górę.

— Panie Chicot — rzekł — ratuj mnie w tej potrzebie, i pożycz mi dwa talary.

— Zrobię coś lepszego; biorę cię z sobą!

Gorenflot spojrział na Gaskończyka nieufnie, jakby mu nie wierzył.

— Ale pod warunkiem, że będziesz roztropny, w resztę nie wchodzę. Przyjmujesz mój projekt?...

— Czy ja przyjmuję?... A masz pieniądze na podróż?...

— Patrzaj — odpowiedział Chicot, wyjmując z kieszeni porządnie nabita sakiewkę.

Gorenflot podskoczył z radości.

— A wiele tam?... — zapytał.

— Sto pięćdziesiąt pistoli.

— A gdzie pojedziemy?...

— Zobaczysz.

— A kiedy zjemy śniadanie?...

— Zaraz.

— Ale na czym ja pojedę?.... — zapytał.

— Nie na moim koniu, bo zamęczyłbyś go, a ponieważ masz brzuch jak Sylen i tak jak on pić lubisz, kupię ci osła.

— Wybornie! — zawołał Gorenflot — ty jesteś moim królem, mojem słońcem; tylko kup osła mocnego. Teraz powiedz mi, gdzie będziemy jedli?

— Wzniesь oczy w górę i czytaj jeżeli umiesz.

W samej rzeczy, przed nimi wznosiła się oberża, a mnich przeczytał napis:

„Tu dostanie szynki, jaj, ciast i wina”.

Trudno opisać jak rozpromieniła się twarz Gorenflota, oczy zaiskrzyły się, ukazał dwa rzędy białych zębów. Wzniósł dziękczynnie ręce do góry i zaśpiewał:

To rozkosz prawdziwa

Spoczywać, jeść i pić;

Bez mięsa i bez wina

Na świecie nie chcę żyć.

— Wybornie!... — zawołał Chicot, — nie tracąc czasu, siadaj do stołu, ja tymczasem poszukam dla ciebie osła.

KONIEC TOMU DRUGIEGO

